Nie ma mocnych? Ejże!
Tadeusz Jasiński str. 8-9

ŚLUB O PÓŁNOCY
Jerzy Dostatni str. 4

ŚWIAT MODY
Ewa Polak str. 6

RETRO
Jak wróżyć z kart?
str. 13

BIBL. UMCS LUBLIN

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 2 XI 1975 NR 22 (586) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

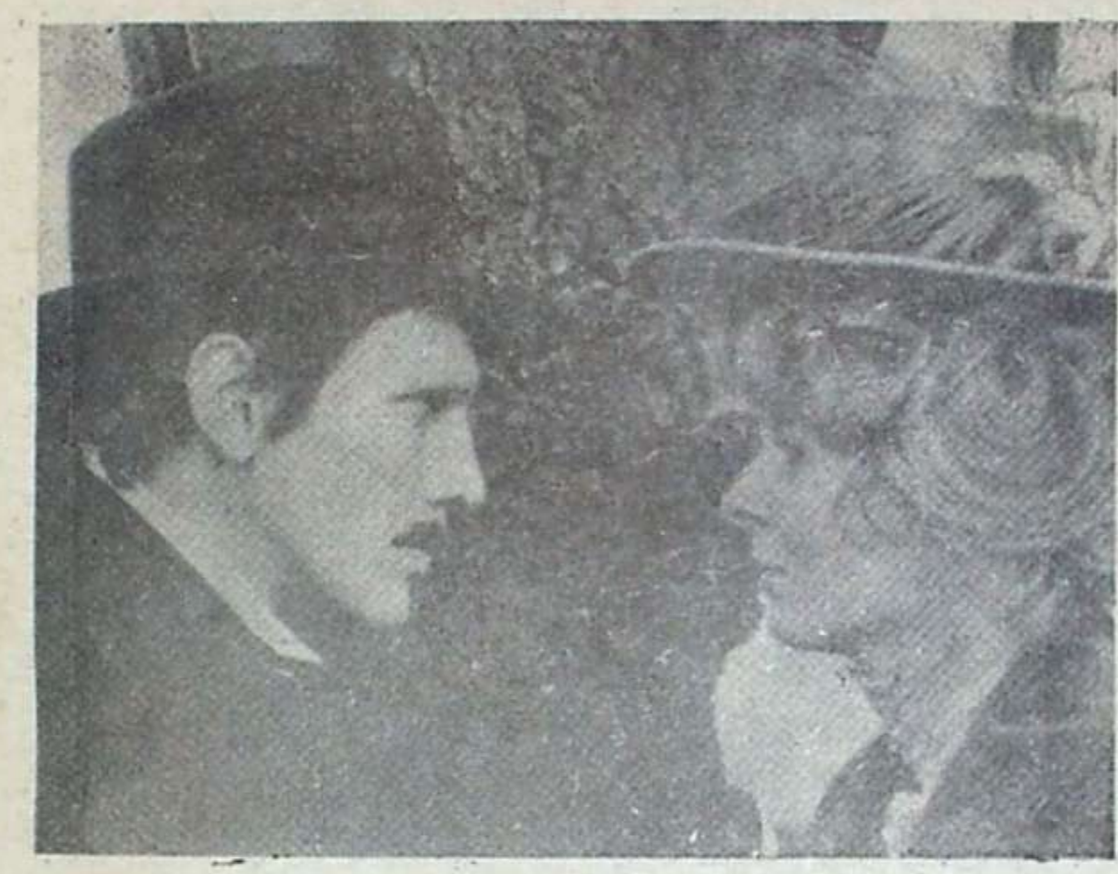

CZY WIELKA MIŁOŚĆ?
Maria Bechczyc-Rudnicka str. 10

EKONOMIŚCI W NOWYM SYSTEMIE
Romuald Poliński str. 4-5

Z Judymem w Nałęczowie

Maciej Podgórski

W POŁOWIE października Nałęczów stał się smutnawy i pusty raczej. Liście w parku śpiewają już o jesieni — żeby się tak poetycko wyrazić. Już tylko nieliczne kuracjuszki, w wieku średnim i powyżej, decydują się na stały rytuał kuracyjnego dnia jak co dzień — karmienie łabędzi w stawie. Restauran pt. „Zdrojowa" także pustawy i wszyscy w nim trzeźwi, tylko jak zwykle pozbawiony toalety, a w szatni „zakład nie odpowiada za pozostawione rzeczy". Nawet dziadek, obsługujący parking strzeżony, choć pieniądz zainkasował, bardzo jakoś szybko zniknął ze swego stanowiska. W kioskach „Ruchu" sprzedawczynie wzruszają ramionami na pytanie o jakiś folder nałęczowski. „Może w pijalni wód" — doradzają. Ale w pijalni też nie ma. „Wspomnienia są silniejsze od łez" — napisał ktoś w księdze wystawy „175 lat uzdrowiska w Nałęczowie", otwartej w pałacu Małachowskich.

Wystawa jest krzepiąca nadzwyczaj, obrazuje bowiem, jak to się nam Nałęczów rozwijał w czasie i demokratyczniał, począwszy od połowy XVIII wieku kiedy zwał się Bochotnicą Kościelną, poprzez drugą połowę XIX wieku kiedy to z Warszawą i Lublinem połączyła go sławetna „Kolej Nadwiślańska", i z początkiem naszego stulecia otwarto tutaj zakład kąpielowy dla chłopców pod nazwą „Kąpiele tanie im. B. Prusa", skończywszy zaś na czasach całkowicie dzisiejszych, gdy otrzymał prawa miejskie (1963 rok), by w 10 lat potem stać się obiektem umowy między dyrektorem naczelnym Zjednoczenia „Uzdrowiska Polskie" a wojewodą lubelskim na temat rozwoju lecznictwa uzdrowiskowego w tej miejscowości.

Budowę uzdrowiska przez Małachowskich (herbu „Nałęcz") datuje się na rok 1800, toteż Nałęczów co pięć lat ma szanse obchodzić „okrągłą" rocznicę w „okrągłym" roku. Ale nie o to idzie, skoro w ten sposób można coś osiągnąć. Dzisiaj co 13 osoba chora na serce w Polsce może dostać się na leczenie do Nałęczowa. To mówi o realnej potrzebie rozbudowy uzdrowiska. A perspektywa: na każde 10 łóżek siedmiu

Dokończenie na str. 12

RYBIA ŚMIERĆ

Małgorzata Sawicka

KIEDY dyrektor Czarnas odebrał dwudziesty tego dnia telefon znad Wieprza, do Krasnegostawu jechała już „syrenka" z pracownikiem Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska.

Ławice śniętych ryb spływały w dół rzeki.

Był dzień 26 września 1975 roku.

Dzwonili oburzeni wędkarze i strażnicy ochrony wód, bo komu bardziej może zależeć na czystej wodzie niż im? Strażnicy (a jest ich w województwie pięciu zaledwie) opływają motorówkami jeziora, idą kilometrami wzdłuż rzek, wędkarze zaś wykupują karty i godzinami tkwią nad brzegiem z wędką w ręku, wsłuchani w szmer wody przelewającej się po zakolach. I nie wiadomo wcale, co dla nich jest ważniejsze — sam relaks, czy złowiona już „gruba ryba".

W czasie wieloletniej pracy w Polskim Związku Wędkarskim dyrektor Czarnas nie miał nigdy w ciągu jednego dnia tak wielu dramatycznych sygnałów na raz. Czuł się zobowiązany osobiście zobaczyć, jakie są rozmiary katastrofy. Każda taka sprawa, to osobista porażka, a poza tym cios dla PZW, powodujący moralne i materialne straty. Oto meldunek sprzed ośmiu dni zaledwie. Dopiero dziś nadszedł, bodajże między czternastym a piętnastym telefonem. Czytam odręcznie napisaną notatkę:

Zarząd Koła Polskiego Związku Wędkarskiego w Izbicy stwierdza, że w dniu 18.IX.1975 r. rzeką Wieprz na terenie Izbicy płynęła ławica śniętych ryb w bardzo dużej ilości, zatrutych najprawdopodobniej przez cukrownię w Klemensowie.

Zarząd Koła zorganizował akcję ochrony ryb żywych przed kłusownikami i ludnością okolicznych wsi, która masowo łowiła płynące ryby. Dużą pomoc w tej akcji okazała miejscowa Milicja Obywatelska, za co należą się jej słowa uznania i podziękowania.

Stwierdza się też, że zatruciu uległy wszystkie gatunki i rodzaje ryb znajdujące się w rzece Wieprz. Najwięcej płynęło takich ryb, jak: płoć, jaź, szczupak, trafiały się też duże okazy karpia, klenia, a nawet węgorza.

Wędkarze naszego koła byli do tego stopnia rozgoryczeni tym faktem, że łamali wędki oświadczając, że w przyszłym roku kart nie wykupują, że koniec z wędkowaniem. A gdyby było bliżej do Klemensowa, to sami wymierzyliby karę dyrektorowi.

Teraz historia się powtarza. Wiele pracy i pieniędzy idzie na zarybienie, a jeden taki wypadek niweczy tysiące rybich istnień. A ryba nie taka znowu skora szybko rosnąć. Leszcz, lin — dla przykładu — rosną pięć lat, zanim staną

Dokończenie na str. 3—9

OD HAMBURGA DO MONACHIUM (II)

W MIARĘ CIEPŁO, W MIARĘ OFICJALNIE

Marek Adam Jaworski

JEDZIEMY więc dalej z Herr Oswaldem Beckiem ulicami Hamburga, wpadamy w nieco węższe uliczki — dzielnicę willową. Przypomina ona trochę szczecińskie Pogodno, choć więcej tu nowych domów. Co bogatsi właściciele posesji — a ziemia tu na wagę złota — w miarę jak pęczniały ich portfele, poczynali się dusić w dotychczasowych pomieszczeniach. Przede wszystkim pieniądz, a więc nowy samochód, nowy dom świadczy tu o pozycji człowieka. Później opowiadano mi o sprytnym architekcie, który w latach pięćdziesiątych za bezcen wykupił ileś tam kamienic i walących się dworków, wyremontował je, urządził i kiedy przyszła moda retro zrobił gigantyczny interes. Osobiście uważam, że architekt mimo woli uratował od zagłady wiele cennych zabytków. W tej dzielnicy Hamburga ludzie — nie z klasy robotniczej przecież — gonią za nowościami. Zapewne myślą nie tylko o wygodzie, ale i o dobrej lokacie kapitału. W 1950 roku przeciętna cena mieszkania, podkreślam mieszkania, nie domu, bo w tym względzie nie dysponuję oficjalnymi danymi, o powierzchni 60 m kw. wynosiła 10 tysięcy marek, a w latach siedemdziesiątych skoczyła do 60—70 tysięcy marek. Suma to, nawet na stosunki w RFN, dla przeciętnego obywatela zawrotna, nic więc dziwnego, że wiele mieszkań stoi zupełnie pustych. Wille, które oglądam, są różne: większe i mniejsze, bogatsze i uboższe, stare i nowe, ale Boński Instytut Budownictwa Mieszkaniowego ma pewno lepsze rozeznanie niż przypadkowy obserwator. Jeszcze dwa lata temu ujawnił on publicznie, że dwie trzecie ogólnej liczby obywateli RFN („Die Zeit" z 18 maja 1973 r.) żyje w nieodpowiednich warunkach mieszkaniowych. Nie sądzę, aby w przeciągu tych dwóch lat dane te mogły ulec gwałtownej zmianie. Chociaż... W RFN ponoć co 45 minut przybywa nowe mieszkanie. Rzecz jednak w tym, i to trzeba wyraźnie powiedzieć, że nie każde z tych mieszkań zostaje automatycznie z a l u d n i o n e. Paradoks? Tak, jeden z paradoksów świata kapitalistycznego. Jeden czy drugi facet ma pieniądze i lokuje je nie w bankach, nie w papierach wartościowych (koniunktura jest chwiejna, od czasu do czasu dochodzi do różnych trzęsień), ale w m u r a c h. Te mury tylko pozornie stoją. One rosną. Rosną w cenie.

Nie podejmuję teraz tego tematu. Herr Beck, który nie bez pewnej dumy pokazuje mi tę dzielnicę, zapewne napomknąłby zaraz, że przecież buduje się również mieszkania subwencjonowane częściowo ze środków publicznych, w których komorne jest znacznie niższe niż w domach prywatnych (i tak wynosi ok. 5—6 marek za metr kwadratowy). Prawda. A ile takich mieszkań buduje się w ciągu roku? Niewiele ponad 150 tysięcy. I według oceny Instytutu Budownictwa Mieszkaniowego trzeba by przez 40 lat budować ich rocznie co najmniej 250 tysięcy, aby uzyskać owe brakujące 10 milionów. 10 milionów względnie tanich mieszkań. Tych danych nie wyssałem z palca...

Na moment zatrzymujemy się przy nowoczesnym domu towarowym, olbrzymim kombinacie z pięknym parkingiem. Jest niedziela, dom zamknięty. Jak zapewnia Herr Beck, można tu kupić wszystko, nie trzeba więc jeździć do centrum miasta, co dawniej mocno dawało się we znaki. Obiekt ten wybudowano — twierdzi mój rozmówca — w rekordowym, nawet na RFN, tempie, tempie — ośmiu miesięcy. Architekt nie zapomniał i o fontannie. Ta ostatnia, oczywiście, nie na sprzedaż...

Ale oto i willa Herr Becka. Gospodyni zaprasza do wnętrza. Na stole słodkości i — jak się okazuje — znakomite reńskie wino.

Szczerze mówiąc, najbardziej interesuje mnie pismo, wydawane i redagowane przez Herr Becka. Jest to miesięcznik, jak głosi podtytuł „niezależny, ponadpartyjny", o formacie gazetowym, nieco mniejszym niż „Sztandar Ludu". Tytuł „Blickpunkt Hamburg". Dla przybysza z Polski nieco dziwnym może wydawać się fakt, iż prawie 70 proc. powierzchni pisma zajmują ogłoszenia, ale one też stanowią podstawę jego egzystencji. Strona ogłoszeń to 9 tysięcy marek!

Ten numer jest szczególny: wiele uwagi poświęcono w nim Dniom Polskim w Hamburgu, jest nawet program tych Dni, zajmujący całą stronę. Zaprezentowaliśmy się godnie. W Hamburgu gościł zespół „Śląsk" i Piotr Paleczny. Warszawski Teatr Dramatyczny przedstawił „Na czworakach" Różewicza i „Ślub" Gombrowicza. Były wystawy, m. in. „Odbudowa Gdańska" (żeby dla wszystkich było jasne, o co chodzi, napisano „Wiederaufbau Gdańsk/Danzig") i „Polska dzisiaj" — obie fotograficzne. Przyjechał Niemen.

Również czołówka numeru dotyczy Dni. „Herzlich willkommen!" („Serdecznie witamy"). I zdjęcia: min. Jerzego Olszewskiego i nadburmistrza Hamburga Hansa-Ulricha Klosego. To nie koniec. Jeszcze całostronicowy artykuł Włodzimierza Strzyżewskiego o odbudowie Gdańska („Der Wiederaufbau Gdańsk"), również ze zdjęciami.

Żeby jeszcze to pismo było w Hamburgu bardziej popularne, bardziej masowe. Do licha! Czy nie pozbędę się sceptycyzmu?!

Sączymy wino, a jak się rzekło wino jest doskonałe, pani domu zaprasza do skosztowania tortu, a Herr Beck opowiada o swych wrażeniach z Polski. Był wraz z grupą innych działaczy CDU na Uniwersytecie Jagiellońskim, odwiedził i Lublin, gdzie spotkał się z naukowcami KUL-u. Nasze miasto podobało mu się, co mnie cieszy, ale — co mnie już nie cieszy — narzeka na ślamazarną obsługę w sklepach i w restauracjach. Nie mogę nie przyznać mu racji w tym względzie. Później — słuchajcie, słuchajcie kelnerki z „Polonii" — widziałem na własne oczy, jak młoda kelnerka monachijska w rękach jednorazowo niosła do stolików dziesięć litrowych (!) kufli piwa. Jeśli któraś zechce w Lublinie dokonać tej sztuki, gotów jestem ufundować specjalną nagrodę.

Oczywiście Herr Beck jest zwolennikiem prywatnej inicjatywy, czemu niejednokrotnie daje wyraz w rozmowie. W tym względzie nasze poglądy, powiedziałbym delikatnie, różnią się „nieco", ale przecież nie w tym rzecz by się wzajemnie przekonywać. Doceniam jednak wysiłki, jakich Herr Beck nie szczędzi, by obywatelom Hamburga, czytelnikom jego pisma, przybliżyć obraz Polski współczesnej. Wysiłki te doceniam tym bardziej, że przecież w środkach masowego przekazu RFN różnie się pisze o naszym kraju i do dziś nie brak publikacji, które nie służą normalizacji wzajemnych stosunków.

Dzień kończymy w restauracji. Jest tu już większe towarzystwo. Kilku przyjaciół Herr Becka, którzy nie mają zbyt wielkich kontaktów z dziennikarzami polskimi, korzysta z okazji i zarzuca mnie gradem pytań. Co ja myślę o wynikach konferencji w Helsinkach? Co ja sądzę o perspektywach dalszego rozwoju stosunków między Polską a Niemcami? (Którymi Niemcami — teraz ja pytam z kolei. — O które państwo niemieckie panom chodzi?) Jaki charakter ma pismo, które redaguję? Czy ja w tym piśmie mogę zaatakować politykę partii? (Na to ostatnie pytanie znów odpowiadam pytaniem: — Panowie są członkami CDU, ja jestem członkiem PZPR. Czy panowie atakują na łamach prasy s w o j ą partię?)

Szermierka słowna. Czuję się nieco zmęczony, ale świetne piwo nie tylko zaostrza apetyt. Mógłbym dyskutować do jasnego rana. A klimat jest o tyle sympatyczny, że siedzący obok mnie przyjaciele Herr Becka nie mogli, z uwagi na wiek, nosić w s w o i m c z a s i e mundurów Wehrmachtu czy mundurów i n n y c h formacji. Proszę wybaczyć, ale zawsze, kiedy rozmawiam z Niemcem liczącym, powiedzmy, 48 i więcej lat, mam go ochotę o c o ś zapytać. Ta nieufność jest usprawiedliwiona. W moim mieście dymiły piece Majdanka. Przeszłość mimo woli wraca jak bumerang, zwłaszcza gdy proces oprawców z Majdanka jest ciągle, w 30 lat po zakończeniu wojny, odkładany przez sąd w RFN.

Żegnamy się w miarę ciepło, w miarę oficjalnie. W pokoju hotelowym przed pójściem spać zaglądam do małej szafki pod oknem. I oko mi bieleje. M i n i b a r. Mogę sobie z niego wziąć różne słabsze i mocniejsze napoje. Mogę? Dano mi uprzejmie i bardzo oględnie do zrozumienia, że w tym wypadku nie korzystałbym już z praw gościa. Inaczej mówiąc, musiałbym za 100 gramów Martini zapłacić siedem marek, tyleż samo za 80 gramów (dwie małe buteleczki po 40 gramów, tak jest cena skalkulowana — za dwie, nie jedną) wódki („Smirnoff"). Dziękuję, poczekam. Za siedem marek w Pewexie kupię prawie p ó ł t o r a litra „Żytniej". Uraczę cały zespół redakcyjny.

I już wcale się nie dziwię, że gościnność Inter Nationes też ma swoje granice.

Następnego dnia, a jest poniedziałek, kupuję dwie gazety: „Bild" i „Morgenpost". Na czołówkach sprawa tego zamachu bombowego na dworcu hamburskim, o czym wspominałem w pierwszym odcinku.

Co się okazuje? Sprawca zamachu, który podłożył bombę plastikową w przechowalni bagażowej (skrzynki z kluczykami), na pięć minut przed wybuchem oznajmił o tym telefonicznie policji. Było za późno, aby przeciwdziałać wydarzeniom. Głos informatora został jednak nagrany na taśmę i później odtworzony przez radio i telewizję. Sto trzech mieszkańców Hamburga poznało: był to głos 19-letniego Andreasa Vogla. Za jego schwytanie została wyznaczona niebagatelna nagroda w postaci 251 tysięcy marek. Prasa donosi, że Vogel uczestniczył również w zamachu na zachodnio berlińskiego sędziego Drenkmanna (zamach śmiertelny) i w uprowadzeniu przywódcy CDU w Berlinie Zachodnim, Lorenza.

A jakie skutki przyniósł wybuch bomby na dworcu w Hamburgu? 12 osób rannych. Wśród nich — obywatel brytyjski, Edward Fitzgerald, odbywający podróż dookoła świata. Bohaterowie dawnych powieści, uczestniczący w podobnych podróżach, mieli kłopoty z dzikimi ludami. Czasy się zmieniają.

W „Bild" znajduję szczegółowy horoskop. To nie horoskop tygodnia! Horoskop dnia, z godzinami. Mnie, urodzonemu pod znakiem Skorpiona, gwiazdy zalecają, bym nie brał wszystkiego tragicznie. Więc nie biorę.

Podobno lektura ogłoszeń wiele mówi o życiu miasta. Na wstępie pisałem o mieszkaniach. Tu jest aktualna ilustracja:

Trzy pokoje z kuchnią. 670 marek miesięcznie.

Dwa pokoje. 480 marek miesięcznie.

Trzy pokoje. Wszelkie wygody. 620 marek miesięcznie i kaucja 1500 marek.

Kilka ogłoszeń zamieszcza Herr Borowsky. Herr Borowsky jest bardzo przedsiębiorczy. Z jednej strony poszukuje mieszkań, a z drugiej strony je w y n a j m u j e. Zapewne nie robi tego bezinteresownie. Dobra jest każda droga do zarobku. Herr Borowsky wie o tym zapewne najlepiej.

Ale są i innego rodzaju ogłoszenia. Kryptoreklama prostytucji. Znów nie będę gołosłowny:

Modelka Szwedka. Telefon...

Młoda modelka od 9 do 21 wolna (dokładny adres).

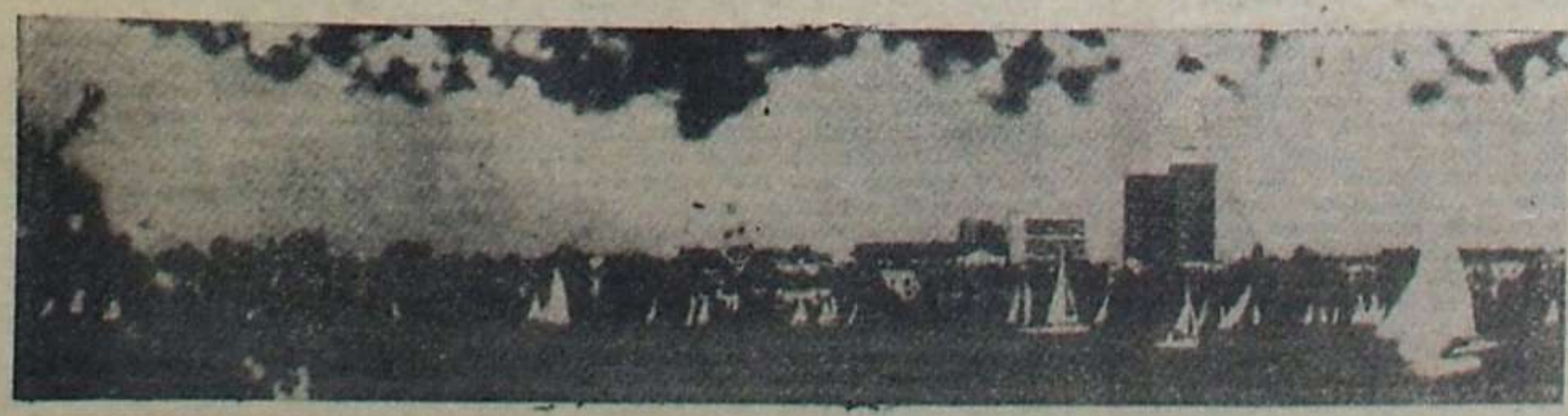

Hamburg — Fot. Archiwum

Młody model. Telefon...

Dwie modelki wolne. Telefon...

Młody szarmancki model wolny. Telefon...

Any... modelka. 19 lat. Telefon...

I inne tego typu og... sumie kilkadziesiąt w jednym nu merze. A wśród nich... Czytam i diabli mnie biorą:

Modelka z Polski. Blisko Hamburga. 04108/74 49 od 10 godziny.

Modelko z Polski! Za ile sprzedajesz się marek?

Kryptoreklamą prostytucji są również anonsy gabinetów kosmetycznych w rodzaju:

Prywatny gabinet kosmetyczny dla panów. Telefon...

Panowie przyjdą do nas ponownie. Salon kosmetyczny. Telefon...

„Bild" jest pismem bardzo popularnym w RFN, ma miliony czytelników, kształtuje ich gusty, ich opinie. Chciałbym poświęcić mu nieco uwagi, zwłaszcza, że zapoznałem się z artykułem Jochena Duderstadta, zamieszczonym na łamach „Vorwaerts" (nr 36 z 4 września) p. t. „Dzień za dniem, zawsze te same otępiające tony".

Autor zastanawia się, dlaczego „Bild" który *przesadza, zniekształca i podjudza*, dlaczego to springerowskie pismo *odrzucone zdecydowanie przez wszystkich oświeconych obywateli* zdobyło się na stałe miliony czytelników *szczególnie z niższych sfer?* Recepta polega na wymyślnym sposobie zaspokajania podstawowych potrzeb psychicznych i na niszczeniu wszelkich potrzeb w dziedzinie racjonalnego myślenia.

Spośród ataków, 16 jest skierowanych przeciwko SPD, 13 przeciwko lewicowym intelektualistom, 11 przeciwko FDP, 6 przeciwko krajom bloku wschodniego, 6 przeciwko Arabom-terrorystom, 3 przeciw słabemu państwu z jego rozlazłą policją (RFN), 2 przeciwko związkom zawodowym i 1 przeciwko sztuce nowoczesnej.

Dla wszystkich grup, partii oraz atakowanych obiektów — stwierdza autor artykułu — *to jest wspólne, że z punktu widzenia komentatorów „Bildu" są one „lewicowe", co jest synonimem zniszczenia, podstępu i zła. Prawie każde zdanie, które coś potępia, służy, jak okazuje się przy bliższym wejrzeniu, strategii podwójnej. Polega ona na jednoczesnej obronie porządku, który według „Bildu" powinien istnieć i którego rzeczywiste istnienie wmawia się czytelnikom oraz na blokowaniu wszelkiej krytyki z lewa przez powoływanie się właśnie na ten porządek.*

„Bild" dzieli społeczeństwo na przedsiębiorców i wyższych menażerów oraz na zależnych od nich robotników. *Jednak mimo barier stanowych obydwa stany tworzą razem szczęśliwą wspólnotę narodową, w której nie istnieją rozbieżne interesy i konflikty w imię nadrzędnego dobra ogółu. Odpowiedzialna opieka z jednej strony i bezkrytyczna wierność z drugiej nie pozwalają w ogóle na powstawanie konfliktów.*

W konkluzji autor stwierdza: *Ustrój propagowany przez „Bild" różni się od korporanckiego państwa faszystowskiego XX wieku ucieleśnianego przez Mussoliniego, Salazara, Franco i Hitlera, tylko tym, że brakuje w nim koncepcji nieograniczonej egzekutywy.*

Czyli, inaczej mówiąc, nie zamyka się tych, którzy poglądów pisma nie popierają, do Dachau. To nie jest moje zdanie, tylko przypominam, Jochena Duderstadta. Jeśli jednak to pismo ma tylu wiernych czytelników... Stop, wstrzymuję się przed wyciągnięciem wniosków, zwłaszcza, że w RFN wychodzi wiele pism poważnych, które od „Bildu" odżegnują się jak diabeł od święconej wody.

Co dzisiaj mamy w planie? Wizyta w hamburskim oddziale Inter Nationes, raczej kurtuazyjna, i zwiedzanie portu. Obwozi mnie po nim motorówką Herr Friedrich Schmid, dyrektor informacji. To temat mniej interesujący dla czytelników „Kameny", szczurów lądowych. Chociaż...

(cdn)

58 ROCZNICA WIELKIEGO PAŹDZIERNIKA

CHATA NA PODHALU

Aleksander Jansa

Namiętnie kochał naturę. Kochał góry, las i zachody słońca. Bardzo cenił i lubił połączenia kolorów. Do własnego ubioru nie przywiązywał zbytniej wagi. Myślę, że kolor krawata był mu zupełnie obojętny. Sam krawat traktował zresztą jako zło konieczne...

Skoro tak bardzo kochał góry, łatwo potrafił pokochać Tatry. Na pewno sporą niedogodnością było dla niego przeniesienie się z Krakowa do Białego Dunajca...

Autorka przytoczonego na wstępie cytatu i dalszych wspomnień oraz opinii o Leninie, Nadieżda Konstantinowna Krupska, chorowała musieli więc latem wyjechać z miasta. Dlaczego wynajęli właśnie ten dom? Teresa Skupień akurat wyszła ponownie za mąż, nie za gazdę ale za stolarza, a chata stała pusta. Ktoś ze znajomych Uljanowów o tym wiedział, porozmawiał i pewnego majowego dnia przyjechało tu troje ludzi: Elżbieta Wasiljewna Krupska, jej córka Nadieżda oraz zięć, o którym napisano potem na tablicy umieszczonej w szczycie chaty:

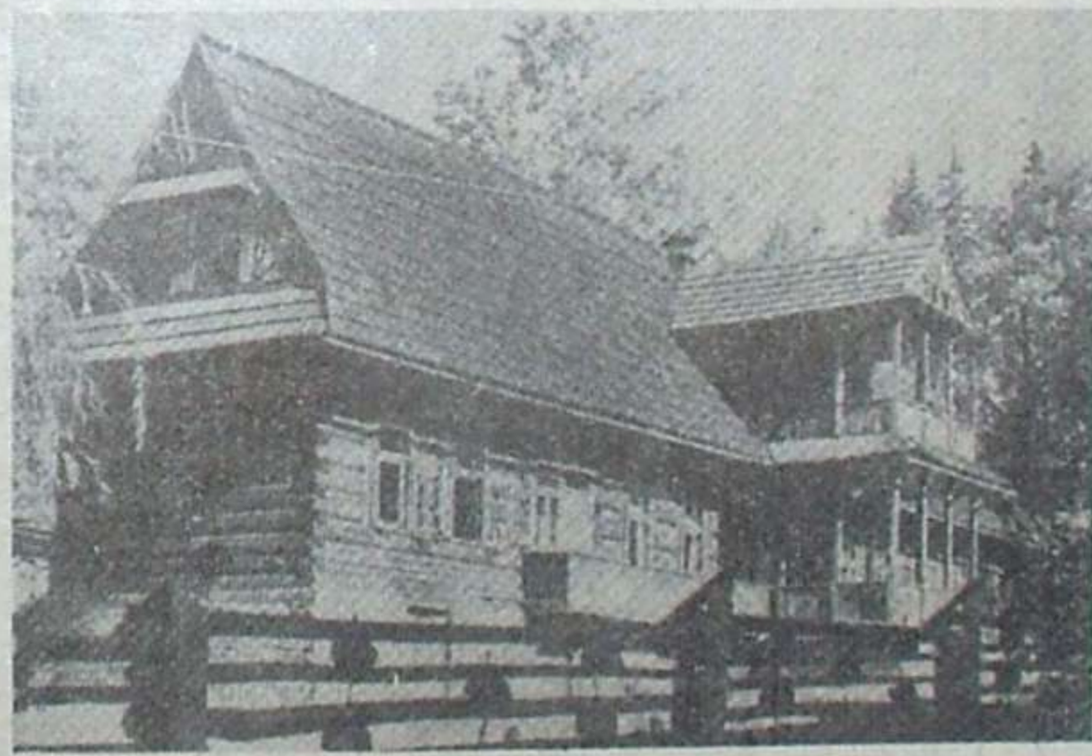

Stoimy właśnie przed tym budynkiem — ja i mój kolega z frankfurckiego dziennika „Neuer Tag", Dieter Lischke — w skupieniu. Wita nas kustosz tego domu-muzeum mgr Barbara Michałowska.

Właściwie trudno odróżnić, gdzie kończy się Biały Dunajec, a zaczyna sąsiednia wieś Poronin. Z chatą Guta Mostowego, wybraną na leninowskie muzeum, na której — po nowszych ustaleniach historyków radzieckich i polskich — można jedynie napisać:

W tym domu
bywał
Włodzimierz Lenin.

Mapa w muzeum poroninskim ukazuje krakowskie i białodunajeckie kontakty Włodzimierza Iljicza ze światem. Naliczyliśmy 55 niteczek. Prowadzą one do krajów i miejscowości, z którymi korespondował i stamtąd otrzymywał listy. Są koperty tu adresowane, są też wypisane jego lub Nadieżdy Konstantinowny ręką, z miejscowym stemplem. Dziś nie ma już starej poczty z okresu panowania cesarza Franciszka Józefa.

Chodzimy teraz po izbach chaty — na skutek dawnej pomyłki historyków mniej znanej — w Białym Dunajcu. Jej surowość przemawia do nas o wiele bardziej niż tamta, tak bogata i dobrze wyposażona, przyozdobiona bliskością pomnika. Właśnie ta podhalańska chata przybliża nam Lenina bardziej niż dokumentalne filmy.

Oto na tym góralskim zydlu siadywał. Przy tym stole opracowywał korespondencje Marksa i Engelsa do pierwszego rosyjskiego wydania. Pracę tę rozpoczął w Krakowie. Tu napisał artykuły do haseł o Karolu Marksie, do Encyklopedii Braci Granat. W tym czasie główne miejsce w jego twórczości zajmowały problemy narodowościowe. Przede wszystkim więc kontynuował i kończył w Białym Dunajcu „Uwagi krytyczne w kwestii narodowej" oraz zasadniczą rozprawę dla myśli marksistowskiej „O prawie narodów do samookreślenia".

Lenin doszedł do wniosku — napisze o nim w pracy „Z Leninem w Krakowie", Sergiusz Bagocki — *że w Poroninie może nie gorzej pracować niż w Krakowie.*

Były i nieprzespane noce. Stara, naftowa lampa, niejedna w tej chacie, stoi na prostym, z grubsza tylko ciosanym stole. Są księgi, są symbole życia, które tak owocnie tutaj toczyło się przez dwie wiosny i dwa lata. Na ścianach — wianeczki z polnych kwiatów, suszone wiązki, okraszające nieco tę, jakby zamierzoną choć naturalną surowość. Jeszcze bardziej ascetyczny wydaje się pokoik na górze.

W pokoju nie znosił — pisała N. Krupska — *kwiatów ogrodowych. Ale lubił kwiaty polne i zieleń. Bardzo lubił zapachy wiosny. Kwiatów ogrodowych, zwłaszcza o silnym zapachu unikał. W domu kiedy zaabsorbowany był jakimś problemem, zawsze mówił szeptem.*

Stajemy przed pokojem Elżbiety Wasiljewny, patrzymy na portrety tych, co tu z nią czasowo mieszkali, zawieszone jednak już po ostatniej wojnie. Patrzą na nas znane oczy Włodzimierza Iljicza i Nadieżdy Konstantinowny. A na ile jej królestwem była kuchnia, w której stajemy, rozglądając się dokoła? Góralska to kuchnia, z dawnym piecem i wszystkim, co typowe dla tej części gazdowskiej chaty...

Na spacerze czasem idzie bez słowa, skupiony. Wtedy ja też nic nie mówię, pozwalam mu zamknąć się w sobie. Potem zaczynał opowiadać szczegółowo, dokładnie i bardzo nie lubił wtrącanych pytań. Po polemikach, dyskusjach, kiedy wracaliśmy do domu, bywał posępny, wytrącony z równowagi. Nigdy o nic nie pytałam — sam zawsze potem opowiadał, bez wypytywania. Często podczas naszych spacerów jakaś nieoczekiwana replika zdradzała, że on nawet spacerując myśli, obmyśla itd., w skupieniu i napięciu.

N. Krupska, znakomity pedagog i myślicielka, jakże mało wspomina o sobie z tego okresu! A przecież właśnie w Białym Dunajcu opracowywała wyniki swoich badań pedagogicznych, które zawarła w książce „Narodnoje obrazowanije i diemokratija", wydanej już rok po wyjeździe z Podhala, w Szwajcarii. W Polsce to dzieło nosi tytuł „Praca i wychowanie, oświata ludowa i demokracja".

Przyszło jednak lato 1914 roku, roku rozpoczęcia I wojny światowej.

7 sierpnia wieczór, nagle zjawia się W. Iljicz — pisze w swoim „Wspomnieniu o Leninie" polski rewolucjonista i komunista Jakub Hanecki — *i powiada, że była u niego rewizja. Przeprowadzał ją tutejszy wachmistrz żandarmerii. Nakazał stawić się rano do pociągu i jechać z nim do Nowego Targu, do starosty.*

W Nowym Targu nie mogliśmy już znaleźć budyneczku więzienia, w którym zamknięto obywatela cesarstwa rosyjskiego, Włodzimierza Uljanowa. Przebywał tam od 8 do 19 sierpnia 1914 roku. A stamtąd znowu miała rozpocząć się wędrówka po świecie aż do powrotu do zniecierpliwionej zbyt długo trwającą wojną Rosji, aż do obalenia caratu i rządu Kiereńskiego. Ale tamtego sierpnia istniała obawa, że władze austriackie mogą oddać rosyjskiego obywatela i rewolucjonistę władzom carskim.

Spora grupa wybitnych Polaków zawiązała komitet, mający na celu uwolnienie Lenina. Wśród nich byli Ignacy Daszyński, Jakub Hanecki, Wiktor Adler, Sergiusz Bagocki, Kazimierz Dłuski, M. i Z. Markowie, Herman Diamand, Andrzej Chamiec, a także Stefan Żeromski, Władysław Orkan i Jan Kasprowicz. Do dziś trwa spór, który z tych dwu ostatnich zakopiańczyków odegrał w tej sprawie większą rolę. Po ich staraniach i za ich poręką Lenin mógł opuścić bezpiecznie zabór austriacki, mógł dalej prowadzić swoją działalność, która „ruszyła z posad bryłę świata".

EKONOMIŚCI W NOWYM SYSTEMIE

Romuald Poliński

WPROWADZANY obecnie system funkcjonowania gospodarki narodowej stwarza nowe, wyższe wymagania co do poziomu i zakresu kwalifikacji kierowniczej kadry ekonomistów. Już dziś wiadomo, że gospodarka uspołeczniona będzie potrzebowała przede wszystkim ekonomistów wysoko kwalifikowanych, o tzw. szerokim profilu wykształcenia i podstawach określonej specjalizacji (głównie funkcjonalnej a nie branżowej), analityków zjawisk społecznych i gospodarczych, umiejących przygotować przesłanki do samodzielnego podejmowania decyzji ekonomicznych, rozumiejących społeczne skutki współczesnych tendencji gospodarczych i zajmujących wob[illegible] posia- postawę aktywną i [illegible]ości myślenia czesny ekonom[illegible] korzystania z akdać zd[illegible] dorobku nauk ekonomicznych i dziedzin pokrewnych.

Scentralizowany system planowania i zarządzania gospodarką narodową stwarzał zapotrzebowanie na ekonomistów dwojakiego typu. Pierwszy typ obejmował wąską liczebnie kadrę wysoko kwalifikowanych specjalistów, analityków zjawisk gospodarczych, opracowujących przesłanki do podejmowania centralnych decyzji społeczno-gospodarczych. Drugi typ to bardzo liczna rzesza ekonomistów wykonujących sformalizowane czynności planistyczne, kalkulacyjne, kontrolne, sprawozdawcze, ewidencyjne itp., lub uzasadniających przedsięwzięcia techniczne od strony „ekonomicznej", a więc pozbawionych możliwości działania koncepcyjnego i wpływu na kształtowanie rzeczywistości społeczno-gospodarczej, której powinna być podporządkowana sama produkcja i technika. Tak więc przeważająca część ekonomistów została zepchnięta na podrzędne pozycje.

Przejawem nowego statusu kierowniczej kadry ekonomistów i służb ekonomicznych jest zwiększenie ich faktycznej roli i zadań w najszerzej pojmowanym wprowadzeniu postępu ekonomicznego i organizacyjnego na wszystkich odcinkach gospodarki narodowej. Postęp ekonomiczny wiąże się z szerszym wprowadzeniem nowego systemu ekonomiczno-finansowego wielkich organizacji gospodarcz[illegible]wania który zakłada osiągni[illegible] instrumenbezdyrektywnego [illegible] z aktywnym stetych org[illegible] rozwoju gospodarki narodowej poprzez planowanie centralne. Wszystko to umożliwia łączenie racjonalności mikroekonomicznej z racjonalnością makroekonomiczną. A także wzrost samodzielności i odpowiedzialności podmiotów gospodarujących, co wymaga od kadr kierowniczych samodzielności i inicjatywności, które są niemożliwe bez gruntownych studiów akademickich, pogłębionych przez działalność praktyczną i samokształcenie podstaw specjalizacji. Podniesienie rangi ekonomistów z wyższym wykształceniem wymagać będzie ciągłego doskonalenia kwalifikacji, zapobiegania marnotrawstwu ich na jednych odcinkach i deficytowi na innych. Konieczna jest więc doskonalsza polityka kadrowa, wprowadzająca jasny podział uprawnień i obowiązków, właściwą obsadę stanowisk ekonomicznych i preferująca lepiej przygotowanych do spełniania bardziej złożonych funkcji.

W tym aspekcie 10-letnia praktyka funkcjonowania służb ekonomicznych w przedsiębiorstwach i zjednoczeniach stworzyła konieczność nowelizacji Uchwały Rady Ministrów nr 224 z 29 lipca 1964 roku w sprawie postępu ekonomicznego w gospodarce uspołecznionej i organizacji służb ekonomicznych. Chodzi tu o precyzyjniejsze określenie zawodu ekonomisty, zadań służb ekonomicznych, poziomu kwalifikacji i typu wykształcenia niezbędnego zarówno kierownikom, jak i innym pracownikom zatrudnionym w działach czy komórkach ekonomicznych. Niezależnie jednak od warunków instytucjonalnych pozycja służb ekonomicznych i ekonomistów jest wyższa tam, gdzie potrafią oni twórczo współuczestniczyć w ustalaniu zadań i przewidywaniu kierunków oraz rozwiązywaniu problemów rozwojowych, nie zadowalając się bierną rolą wykonawców wtórnego rachunku ekonomicznego.

Wraz ze wzrostem wymagań co do poziomu kwalifikacji zwiększa się również ilościowe zapotrzebowanie na nią poszczególnych regionów i wszystkich rozwijających się gałęzi gospodarki narodowej. Tempo przyrostu kadr z wyższym wykształceniem ekonomicznym jest relatywnie niskie. Wpływa to negatywnie na poziom nasycenia kadrą ekonomistów zarówno w poszczególnych gałęziach, jak i regionach kraju. Będzie się notować niższą liczbę zatrudnionych kadr z wykształceniem wyższym ekonomicznym, niż liczba przewidzianych dla nich stanowisk pracy. Niedobór ten już w końcu 1975 r. wyniesie 9,6 tys. pracowników. Zdawałoby się więc, że istnieje obecnie dylemat w kształceniu kadr ekonomicznych: ilość czy jakość. Jeśli uznać, że faktycznie istnieje taki dylemat, to pierwszeństwo powinno przypaść jakości. Zasadniczy problem rozwoju gospodarki polskiej nie tyle tkwi w ilości kadr z wyższym wykształceniem, ile przede wszystkim w ich jakości.

Dokonanie w jednostkach gospodarczych i innych zakładach przeglądu stanowisk pracy z punktu widzenia zgodności charakteru wykonywanej pracy z zawodem wyuczonym i podniesienie stopnia wykorzystania czasu pracy kierowniczych kadr ekonomicznych określi możliwości wewnętrznych przesunięć pracowników i stanie się poważnym źródłem rezerw w tym zakresie.

Jest rzeczą charakterystyczną, że ekonomiści wg nomenklatury zatrudnieni w administracji państwowej, aparacie finansowym i wymiarze sprawiedliwości są najczęściej z wykształcenia prawnikami. Ekono-

ŚLUB O PÓŁNOCY

Jerzy Dostatni

GDYBY do tego małżeństwa, zawartego dokładnie o północy z 30 września na 1 października br., stosować normy przyjęte pomiędzy ludźmi, można byłoby z góry powiedzieć, że jest to małżeństwo nieudane. Z jednej strony Kraśnik, który prawa miejskie otrzymał już czterysta lat temu, z drugiej Kraśnik Fabryczny, który do roli miasta awansował dopiero 21 lat temu, a w ogóle jest dziesięć razy młodszy od swojego współmałżonka i sąsiada. Kraśnik w swojej historii może się powołać na bardzo arystokratyczne związki, np. z Tęczyńskimi, Radziwiłłami i Zamoyskimi, do których kolejno należał. Kraśnik Fabryczny, jako osada, narodził się wprawdzie jeszcze w czasach kapitalistycznych, ale wzrósł i zmężniał w Polsce socjalistycznej. O Kraśniku nic zapewne nie wiedzą w Japonii czy Kanadzie, Kraśnik Fabryczny dzięki produkowanym tam łożyskom tocznym znany jest w kilkudziesięciu krajach świata.

O konieczności administracyjnego połączenia obu miast w jeden organizm miejski mówiono już dawno, ale zawsze widziano to w jakiejś bliżej nieokreślonej perspektywie. Gorzej — od czasu do czasu dawały o sobie znać tendencje dezintegracyjne, gdy np. przed laty wspólne Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej rozdzielono na dwa, po jednym w każdym z miast, aby było sprawiedliwie — i co naprawiono dopiero 1 stycznia br.

Jednych te tendencje irytowały, inni je tolerowali, jeszcze inni mniej lub więcej świadomie je podsycali. Nie było wprawdzie antagonizmów w rodzaju Kielce—Radom czy Międzyrzec—Radzyń Podlaski, zlikwidowanych już po ostatniej reformie administracyjnej, były jednak dwa zupełnie różne organizmy miejskie.

Kraśnik stary — używajmy tu umownie owych przymiotników — to miasto o dawnych tradycjach mieszczańskich, w których zgodnie współżyli kupcy, rzemieślnicy i rolnicy. Do dzisiaj na obszarze miasta jest 1200 indywidualnych gospodarstw rolnych, w znacznej większości o powierzchni do dwóch hektarów — ich właściciele to przeważnie chłopo-rzemieślnicy czy chłopo-mieszczanie. Starsi mieszkańcy pamiętają też, że do wybuchu wojny siedzibą władz powiatowych był Janów Lubelski a nie Kraśnik.

Kraśnik nowy jest miastem z socjalistycznego awansu społecznego. Nie był to awans bezkonfliktowy. Znaczna większość nowych mieszkańców to chłopi z okolicznych wsi, z których wielu dopiero zdobywało dyplomy techników i inżynierów, gdy w tym samym czasie ich sąsiedzi przez ścianę hodowali w wannach kaczki i gęsi. W starym notowano spadek liczby ludności, w nowym wciąż było jej więcej, aż wreszcie on, Kraśnik Fabryczny, od trzech lat objął prymat.

Konkretne projekty w sprawie administracyjnego połączenia zaczęły się rodzić na wiosnę br. i władze miejscowe chciały sprawę załatwić równocześnie z reformą administracyjną całego kraju, chociaż w radzie narodowej nowego Kraśnika odezwało się kilka głosów przeciwnych zamierzeniu. Ze względów formalnych połączenie obu miast nieco się przeciągnęło, ale już przy okazji ogólnej reformy tak ułożono sprawy personalne, że teraz — jak twierdzi wicenaczelnik mgr Zygmunt Kusiak — trzeba będzie przesunąć najwyżej cztery osoby.

Połączony Kraśnik ma 28 tys. mieszkańców i po Lublinie oraz Puławach stał się trzecim co do wielkości miastem województwa lubelskiego. A liczbą ludności prawie dorównuje wojewódzkiej Białej Podlaskiej. Różnice, o których wspomniałem, już dzisiaj nie są tak jaskrawe, chociażby dlatego, że ze względu na miejsce zatrudnienia codziennie około dziewięciu tysięcy mieszkańców jeździ pomiędzy jedną a drugą częścią miasta. Z tego względu nowe władze już zaczęły zabiegać o utworzenie miejskiej komunikacji, bo chociaż PKS uruchomiła w tym celu siedem linii, to jednak z jej usług mało kto jest zadowolony.

Ale zasadniczą sprawą dla połączonego Kraśnika jest opracowanie jednego, wspólnego już planu zagospodarowania przestrzennego. Prace nad nim trwają w Biurze Planu Przestrzennego w Lublinie. Oczywiście jeżeli plan ma być dobry, zakończą się one za jakieś dwa lata. Na tak długi okres nie można wstrzymać wydawania wszelkich lokalizacji oraz związanej z tym infrastruktury komunalnej. Są przecież dwa systemy wodociągów, dwa systemy kanalizacji i ogrzewania. Pomiędzy obu częściami miasta są niezabudowane pola i laski. A przecież trzeba widzieć w przyszłości jeden zwarty organizm miejski, zwarty nie tylko ulicami i domami, ale wszystkimi funkcjami, składającymi się na życie miasta i do tego już dążyć. Trzeba więc będzie podejmować decyzje doraźne z pełnym poczuciem odpowiedzialności.

Zasadniczą trudnością w starej części Kraśnika jest układ urbanistyczny jego śródmieścia, który został uznany za obiekt zabytkowy, w związku z czym nie może być dowolnie zmieniany. Nie znaczy to jednak, że nie wolno — formalnie rzecz biorąc — na terenie istniejącej zabudowy stawiać nowoczesnych obiektów. Ale czy można postawić wieżowiec obok modrzewiowego dworku lub zabytkowych budynków poklasztornych? Nie ulega wątpliwości, że z zaniedbanych stawów i łąk warto zrobić jakiś obiekt rekreacyjno-sportowy, ale nie wolno stawiać domów na terenie, na którym pod cienką warstwą ziemi tkwią resztki starego zamku.

Ten problem rozumiały także poprzednie władze starego Kraśnika, podejmując np. budowę obwodnicy. Pierwszy etap budowy od zbiegu szosy na Lublin i do dworca kolejowego aż do drogi na Rzeszów, jest już prawie gotowy. Drugi — do drogi Annopol i Kielce rozpocznie się niebawem. Z dotychczasowej trasy, łączącej oba Kraśniki i dalej Urzędów—Opole—Puławy, trzeba będzie wyeliminować ruch przelotowy, bo droga ta zamieni się w główną ulicę nowego miasta.

W kolejce zresztą ustawia się wiele innych problemów. W statystykach nawet ich nie widać, w praktyce jednak wielu ludziom doskwierają. Można np. powiedzieć, że handel ma 271 punktów sprzedaży — i to jest prawda. Ale prawdą jest również, że 148 punktów to prowizoryczne kioski, a w starym Kraśniku na dobrą sprawę przyzwoitych sklepów jest zaledwie dziesięć. Statystyka powie, że 79 proc. ludności korzysta z wodociągów, ale w rzeczywistości jest tak, że w nowym — prawie 100 proc., a w starym — nawet nie połowa! Zespół szkół gospodarczych w nowej części miasta otrzyma budynek po dawnym urzędzie miejskim, ale technikum samochodowe PKS w starej części powinno chyba wynieść się z zabytkowych obiektów, w których chciałoby się widzieć centrum życia kulturalnego. Jest pięć przedszkoli, ale tu jedno, tam cztery...

W czasie wędrówki po Kraśniku natknąłem się na człowieka dość niezwykłego. Jest nim, jeszcze nie trzydziestoletni, mgr inż. arch. Wiktor Zbigniew Wilk. Urodził się wprawdzie w Lublinie, ale od trzeciego roku życia mieszka w Kraśniku, a od kilku lat, po ukończeniu Politechniki Krakowskiej, tam pracuje. Do niedawna kierował miejscowym Zespołem Urbanistycznym, teraz jest terenowym pracownikiem lubelskiego Biura Planowania Przestrzennego, tego właśnie, w którym opracowuje się plan zagospodarowania przestrzennego nowego Kraśnika.

Ale to są zajęcia oficjalne. Nieoficjalnie, jak tu się mówi, jest on społecznym doradcą naczelnika miasta w wielu sprawach, związanych z urbanistyką i architekturą. Ale i to nie wszystko. Zdołał skupić wokół siebie grupę kolegów szkolnych, zajmujących dzisiaj różne stanowiska w administracji i gospodarce. Wspólnie wykonali społecznie wiele prac, albo na które nie było pieniędzy, albo o których nikt inny nie pomyślał. Największym efektem jest całkowicie społeczna odbudowa jednego zabytkowego budynku poklasztornego. Sami opracowali dokumentację, sami zrywali stare podłogi i tynki, a potem robili nowe itd: do społecznej współpracy wciągnęli wielu miejscowych rzemieślników. No i dzisiaj jest piękny obiekt — 600 metrów kwadratowych powierzchni, którą zajmie regionalne muzeum, po lubelskim największe i najładniejsze w województwie. Wicedyrektor Muzeum Okręgowego Tadeusz Chabros powiada, że tak pięknego prezentu polskiemu muzealnictwu z wyjątkiem rodziny Przypkowskich nikt jeszcze nie zrobił. W rezultacie kasa państwowa na całą rzecz wyasygnowała tylko 600 tys. złotych, a wartość prac społecznych oceniono na prawie dwa miliony złotych!

Niektórzy powiadają, że wskutek przesunięć personalnych związanych z reformą administracji owa grupa „gniewnych wariatów" — ta nazwa jakoś do nich przylgnęła — rozpadła się. To chyba nieprawda, bo przecież nie miejsce pracy i stanowisko decydowało o ich zaangażowaniu, pomysłach, robocie. Ich działanie, ich przykład są nadal potrzebne. Myślę nawet, że grupa powiększy się o tych wszystkich, którym zależy na dalszym, już w pełni harmonijnym i jeszcze bardziej dynamicznym rozwoju teraz jednego, dużego Kraśnika. A kandydatów nie brakuje.

mistów z wykształceniem prawniczym jest bowiem w tych instytucjach o 2430 więcej niż ekonomistów z wykształceniem ekonomicznym.

Gospodarowanie kadrami kwalifikowanymi to obecnie ważne zadania służb pracowniczych zakładów pracy. Muszą one w coraz szerszym zakresie inicjować, organizować i kontrolować zamierzenia i działania w sprawach pracowniczych. Prowadzenie racjonalnej polityki kadrowej wymaga też wyższych kwalifikacji od tych służb. Stąd wynika pilna potrzeba kształcenia i doskonalenia kadr specjalistycznych z dziedziny nauki o pracy i sprawach socjalnych. Idzie tu o rozszerzenie kształcenia na kierunku ekonomika pracy i polityka społeczna, a także obowiązkowe dokształcanie i doskonalenie w ośrodkach resortowych. Administracja terenowa również powinna podjąć nowe zadania w dziedzinie polityki kadrowej. Poza doskonaleniem własnego planowania w zakresie zapotrzebowania i zatrudnienia kadr wysoko kwalifikowanych, władze terenowe powinny w coraz szerszym zakresie analizować i koordynować działalność szkoleniową organizacji społecznych i spółdzielczych, prowadzących dokształcanie i doskonalenie pracowników na zlecenie zakładów pracy.

Należy przeprowadzić gruntowne i kompleksowe badania co do ujmowanego dynamicznie zapotrzebowania gospodarki uspołecznionej na poszczególne typy kwalifikacji ekonomistów. W tym celu konieczne byłoby m. in. zaewidencjonowanie aktualnej struktury służb ekonomicznych we wszystkich ogniwach zarządzania i konfrontacja jej z zadaniami i strukturą służb ekonomicznych w latach 1975—1980, a nawet w dalszej perspektywie. Otrzymalibyśmy w ten sposób odpowiedź na pytanie, ilu potrzeba ekonomistów i jaka powinna być struktura ich kwalifikacji.

Jeśli o tempie wzrostu gospodarczego ma decydować przede wszystkim jakość czynnika ludzkiego — a tak rzeczywiście już jest — to kontynuowanie dotychczasowej polityki ekstensywnego rozwoju wyższego szkolnictwa ekonomicznego byłoby nieodwracalnie ujemne w skutkach. Niezbędna jest więc szybka i zdecydowana reorientacja, wyrażająca się w koncentracji sił i środków na najistotniejszej kwestii — jakości absolwentów.

W obecnym kształcie studiów ekonomicznych i systemie doskonalenia kadr kierowniczych zawarty jest branżowy model specjalizacji, który powstał i działał jako wynik niedorozwoju systemu funkcjonowania gospodarki socjalistycznej oraz niedojrzałość teorii ekonomii i metodologicznej wiedzy o racjonalizacji decyzji gospodarczych. Z konieczności więc nauczanie podstaw specjalizacji polegało na opisie organizacyjnie wyodrębnionych branż oraz systemów administracyjnego zarządzania. Szkoły wyższe wyposażały w wiedzę encyklopedyczną w zakresie danej gałęzi gospodarki, przygotowując do spełnienia wszystkich funkcji w danej branży, z konieczności oczywiście w sposób dyletancki. Poważna część tak wykształconych kadr ekonomicznych gubiła się zupełnie wśród stawianych im zadań praktycznych, schodziła na margines życia przedsiębiorstw i instytucji, utrwalając mimowolnie opinie deprecjonujące znaczenie wykształcenia ekonomicznego. Do chwili obecnej utrzymały się liczne branżowe kierunki studiów (tzw. ekonomiki, np. przemysłu, rolnictwa itd). Wiadomo jednak, że kryterium zróżnicowania problematyki ekonomicznej nie ma charakteru branżowego; zróżnicowanie to jest określane przez sfery procesu reprodukcji społecznej.

Stosunkowo powierzchowna specjalizacja branżowa obciążała nadmiernie balastem szczegółowych wiadomości, które deprecjonowały się. Wiedza taka szybko podlegała procesom „moralnego zużycia" i utrudniała przechodzenie z jednej branży do drugiej absolwentom, nie przygotowanym do roli aktywnych rzeczników postępu ekonomicznego w warunkach rosnącej zmienności układów organizacyjnych i technicznych. Specjalizacja branżowa uzasadniana była tym, że poszczególne działy gospodarki narodowej wymagają ze względu na swoją specyfikę rzekomo różnych rozwiązań ekonomicznych, a więc zróżnicowanych resortowo systemów finansowych i organizacyjnych przedsiębiorstw i metod rachunku ekonomicznego. Ten błędny pogląd stoi w sprzeczności z zasadą jedności rachunku ekonomicznego, metod analizy i technik planowania w gospodarce socjalistycznej. Gdyby takie instrumenty ekonomiczne, jak zysk, cena, procent, kredyt bankowy, podatek, amortyzacyjny, fundusze, koszty, itp. spełniały różne funkcje w poszczególnych działach gospodarki narodowej, to nie moglibyśmy porównywać wyników ekonomicznych tych działów i prowadzić konsekwentnej polityki rozwoju społeczno-gospodarczego. Rachunek optymalizacji wyników jest wszędzie identyczny; różne mogą być tylko jego elementy i warunki ograniczające.

Przeprowadzone swego czasu badania ankietowe wśród absolwentów wyższych studiów ekonomicznych wykazały, że zgodnie ze swoimi kwalifikacjami pracuje tylko połowa z nich, 1/3 — tylko częściowo, ponad 10 proc, pracuje niezgodnie z kwalifikacjami, a 13 proc. posiada inny zawód. Tak więc najbardziej pożądane są te elementy ekonomicznego wykształcenia, które skuteczniej niż inne opierają się działaniu czynnika czasu i przez to zapewniają absolwentowi maksymalną zdolność twórczej adaptacji do zmieniających się warunków i nowych alternatyw, do uczenia się przez całe życie wciąż nowych rzeczy.

Z tych wszystkich względów konieczne jest zrezygnowanie z niektórych specjalizacji branżowych i zastąpienie ich specjalizacjami funkcjonalnymi, przygotowującymi do wykonywania określonych funkcji we wszystkich gałęziach gospodarki narodowej. Umożliwiałoby to również efektywniejsze pogłębienie zdobytej wiedzy oraz ograniczenie zasięgu i minimalizację kosztów przekwalifikowania. Należałoby więc w szerszym zakresie rozwijać kierunki studiów, których trzon stanowiłyby dyscypliny traktujące o zastosowaniach nauk teoretycznych i metodologicznych w poszczególnych sferach procesu reprodukcji społecznej. Idzie tu o organizację i zarządzanie, planowanie, statystykę, informatykę, finanse, politykę społeczną i ekonomiczną, cybernetykę ekonomiczną, ekonometrię, analizę ekonomiczną itp.

Zaletą specjalizacji funkcjonalnych jest m. in. to, że ekonomista może być zatrudniony w różnych dziedzinach gospodarki narodowej i ma określone przygotowanie do podejmowania pracy w określonych działach przedsiębiorstwa i ich organizacjach nadrzędnych, a ewentualną specyfikę branżową jest w stanie szybko uzupełnić. Pełna specjalizacja zawodowa może być opanowana w trakcie praktyki zawodowej oraz drogą samokształcenia i studiów podyplomowych. Stąd w założeniu każdego systemu kształcenia i doskonalenia musi tkwić wizja ekonomisty „dyspozycyjnego" w sensie dalszego rozwoju intelektualnego, posiadającego umiejętności przyswajania nowych metod działania w szybko zmieniających się warunkach, a więc łączenia teorii z praktyką.

W systemie dokształcania i doskonalenia kierowniczych kadr ekonomicznych można byłoby wykorzystać w szerszym zakresie niektóre pozytywne doświadczenia takich nowoczesnych systemów kształcenia menażerów jak „Betriebswirtschaftslehre" i „business administration".

ŁGAĆ CZY HAMLETYZOWAĆ?

Zygmunt Mikulski

ZACZĘŁO się od reportażu Hanny Krall zamieszczonego w 7—8 numerze „Odry". Reportaż nosił tytuł „Wiązanka ślubna z kłosów, rumianków i pawich piór", a opisywał akt ślubu zawarty w więzieniu w Strzelcach Opolskich. Po reportażu sypnęły się sprostowania. Sypnęły się w takiej ilości, że dało to asumpt do podjęcia dyskusji na temat reportażu jako gatunku, przysługujących mu środków pisarskich, jego związku z rzeczywistością, odpowiedzialności i kompetencji reportera. Jakoż dyskusja się wywiązała, a pierwszy w niej głos zabrał Kazimierz Koźniewski felietonem „Jak trudno być reporterem" zamieszczonym w 9 numerze „Odry".

Zasadniczy problem postawiony przez Koźniewskiego brzmi: w jakim stopniu reportaż może się posługiwać środkami literatury? Problem nie został postawiony po raz pierwszy, na wielu dziennikarskich naradach podnoszony był przez wielu dyskutantów, w świadomości reporterskiego środowiska znajduje się na pierwszym planie uwagi. W dzisiejszej jego postaci został nieco zmodyfikowany, bo dawniej pytano wprost, czy w reportażu możliwa jest fikcja literacka, a nawet tejże fikcji wyraźnie się domagano. Prawie tak samo postępuje Koźniewski wyrażając „tendencję lekceważenia człowieka na rzecz literatury". Zastanówmy się.

Wyraz „reportaż" pochodzi od francuskiego „reporter", co znaczy „odnieść". W tym wypadku co się „odnosi?" A no — wydarzenie, fakt, zjawisko, którego „odnoszący", to znaczy nastawiony na to reporter jest świadkiem. Ale zjawisko ma odnieść, a nie na jego temat fantazjować. Właśnie smakiem i siłą reportażu jest możliwie najwierniejszy przekaz naocznego świadka, którego zasługę stanowi to, że właśnie jest świadkiem i ma możność dany wypadek przedstawić z walorami „nagiej prawdy", z surowością autentyku. Zawsze relacje naocznego świadka posiadają dla nas większą atrakcyjność i to właśnie jest powodem, dla którego wśród rodzajów dziennikarskich powstał reportaż. Ale etymologiczne motywacje mogą tu przestać być aktualne. Pozostaje oczywistość: jeżeli reportaż ma być czymś innym niż sprawozdaniem o faktach, nastrojach, zamiarach, przeżyciach i decyzjach, które rzeczywiście miały miejsce — mija się z celem, zaprzecza swej istocie, jest niepotrzebny.

A więc wierność autentykowi jest jego dowodem osobistym. Jeżeli dopisuje, upiększa, powiększa, pomniejsza, przekomponowuje realia po to, by lepiej pasowały do „ciekawej koncepcji", traci kredyt u czytelnika, który wówczas słusznie poprzestaje na lakonicznej notatce, albo sięga po powieść. Niezależnie od jakichkolwiek zalet w jakiejkolwiek dziedzinie reportaż sprawdza się przede wszystkim w realiach. Jako czytelnik chcę wiedzieć jak było, a nie co na ten temat sądzi „nasz specjalny wysłannik". Dlatego głosy niezadowolenia płynące z tego, że rozmowa w rzeczywistości przebiegała nieco inaczej, że adwokat rozmawiał z pewną panią nie w domu, ale w Zespole, że pewna artystka ma nieco inne futro i rozróżnia funkcje partyjne — niezależnie od intonacji z jaką się je referuje — są głosami uzasadnionymi i nie ma potrzeby ich torpedować krytycznym zastrzeżeniem. Reportaż jest uwierzytelniony realiami i podważanie konieczności jego z nimi związku praktycznie głosuje za jego niesprawdzalnością, a więc i nieskutecznością społeczną. Tak, reporter może się pomylić. Ale pomyłkę skwitujmy jako pomyłkę, a nie jak szczegół nic nie znaczący wobec „specyfiki gatunku". Czytając reportaż Hanny Krall rzeczywiście miałem przekonanie, — bo w takiej się to znajdowało szacie stylistycznej — że ślubne ubranie więźniowi było podarowane przez inżyniera Góreckiego jako dyrektora „Intermody", co mimo uznania dla życzliwości ze strony instytucji stawia pewien znak zapytania nad prawidłowością istniejącego tam przepływu masy towarowej. Niejasność rozwiało dopiero sprostowanie.

Czy więc reportaż jest uprawniony do posługiwania się środkami literackimi? By był w zgodzie z przedstawionym tu swoim charakterem, odpowiedź może być tylko jedna: tak, ale tylko dla uwypuklenia plastyki opisu, dla tym większego uwiarygodnienia referowanych sytuacji, dla podkreślenia indywidualnych rysów danego wydarzenia i ocalenia go przed rozpłynięciem się w anonimowej magmie jemu podobnych, nigdy zaś — dla uczynienia tekstu atrakcyjnym ponad miarę swego przedmiotu. Jeżeli reporter w podjętym temacie nie znajduje elementów zaciekawiających, a więc obiektywnie ważnych, powinien go zaniechać, a nie ratować sprawę literackim retuszem, montażem, stylistycznym trickiem. Fikcja literacka w reportażu to coś i nielogicznego i humorystycznego. Albo sam przedmiot jest istotny i wtedy niepotrzebny jest wzgląd na autonomiczne zalety tekstu, albo autor ma tzw. „ciągoty literackie" i wtedy hajże na Pegaza bez skrępowania autentyzmem tych właśnie jednostkowych, tych właśnie konkretnie istniejących realiów. Albo uogólniająca prawda, albo poszczególny obraz. Nie ma potrzeby poszukiwać pola pośredniego.

Koźniewski jest zwolennikiem „literackości". Po co? Kto tu ma zyskać: literatura, czy reportaż? I co ma z takiego mariażu powstać: zdegradowane opowiadanie ściągnięte w dół przez „życie", które nie znalazło się na wysokości zadania i nie dostarczyło scenariusza na ciekawy utwór, czy fałszywy dokument niezdarnie podfruwający z „ziemi" w sferę „sztuki", podniecany przez „wyższego rzędu" ambicje? Trudno zgadnąć. W pewnym miejscu wywodów Koźniewski powiada, że „w skali historycznej literatura i sztuka są ważniejsze niż żywy człowiek". W intencji ma to ośmielić reporterów, by opuszczali opłotki empirycznie dotykalnej prawdy. Ale co znaczy pod względem logicznym? Literatura i sztuka, która jest przeciwstawna żywemu człowiekowi, może być tylko literaturą i sztuką manekinów. O nią Koźniewski kruszy kopię. Jakież to dzieła oderwane od kondycji ludzkiej znajdują trwały dorobek w historii kultury artystycznej?

A w ogóle po co to całe „rozumowanie". Im bardziej bezceremonialnie postąpimy z rzeczywistym Janem Kowalskim przypisując mu cechy i wplątując go w wydarzenia „widziane okiem" reportera, tym bardziej przysłużymy się „wizerunkowi człowieka w sztuce"? Gdzie tu opozycja! „Osobiście wyrażam tendencję lekceważenia człowieka na rzecz literatury". Ja zaś wyrażam tendencję lekceważenia koła na rzecz jazdy, instrumentu na rzecz muzyki, drużyny piłkarskiej na rzecz meczu i.t.d. Równie trafne są inne sformułowania, Np.: „Życie to kompromis między wymaganiami prawa a wymaganiami sztuki". Ergo: namalowałeś obraz, stworzyłeś symfonię, napisałeś wiersz — chodź do więzienia, boć przecie między tymi dwoma porządkami istnieje opozycja, skoro jest możliwy między nimi kompromis.

Problem reportażu nie zatrzymał się na sprostowaniach, na odpowiedzi Hanny Krall i na felietonie Koźniewskiego, bo trafił na szpalty kilku innych pism, m. in. „Kultury". W „Kulturze" z dnia 21.IX.1975 r. Jacek Snopkiewicz wyraża stanowisko opozycyjne w stosunku do prokrustowskich zapędów Koźniewskiego i staje w obronie człowieka. Ale na dziwnej pozycji. Rozważa mianowicie kwestię moralności reportera, ale nie w kategoriach napisać sumiennie — napisać niesumiennie, tylko w kategoriach napisać — nie napisać. Powiada, że ma jakieś grypsy wysłane do niego przez więźnia skarżącego się na stosunki panujące w zakładzie karnym, ale tych grypsów nie chce wykorzystać, bo „można napisaniem załatwić na całe życie człowieka, nie wpadając w kolizję z żadnym paragrafem". Chciałoby się dorzucić pytanie: człowieka nie znajdującego się w kolizji z żadnym paragrafem? Jeśli tak, to bardzo dziwny stan rzeczy prezentuje Snopkiewicz i właśnie ten stan powinien stać się przedmiotem jakiejś — nie koniecznie reportażowej — publikacji. Jak to? Dziennikarz nie tylko jest zmuszony do przemilczeń, ale również nie jest pewien jakiej sprawie przysługuje się publikując? Sekunduje Snopkiewiczowi — przedstawiając się jako oponent — Stefan Kozicki: „Skutki opublikowania reportażu są nie do przewidzenia z góry". Może nie tylko reportażu ta niepewność dotyczy, może również felietonu, notatki, artykułu? Wtedy w ogóle dziennikarz to pijane dziecko we mgle? W takim razie może przestaniemy się w to bawić, panowie?

Sprawa reportażu nabrała aktualności i niezależnie od wygaśnięcia wypowiedzi drukowanych zajmuje uwagę dziennikarskiego środowiska. Wszelako jeśli się reportaż traktuje jako pasierba, czy uzurpatora literatury, jeżeli stwierdza się niepewność dokąd trafiają wymierzone pociski, jeżeli „literaturę faktu" przedstawia się jako przyszłość „literatury w ogóle", można powiedzieć, że w pokłosiu dyskusji posiadamy parę cennych pomyłek. Cennych przez sposobność do skorygowania wadliwego obrazu problemu. Z tym oczywiście, że praktyka na szczęście nie idzie tu wyłącznie torem teoretycznych rozważań.

Kamena str. 5

DOKTOR

Stanisław Harasimiuk

DOKTOR K. utrzymuje, że wiedza i kwalifikacje, miast stanowić trampolinę do kariery, w specyficznych warunkach i okolicznościach mogą obrócić się przeciw człowiekowi, który z uporem, kosztem wielu wyrzeczeń, zdobywał kolejne stopnie fachowego wtajemniczenia. Życiorys doktora K. zdaje się potwierdzać ten precedensowy, ale konkretny przecież, z życia wzięty, wypadek.

Urodził się w środowisku wiejskim, ale w rodzinie robotniczej. Naukę rozpoczął w trudnych powojennych warunkach i już w latach pięćdziesiątych podjął pracę jako świeżo upieczony internista w małym miasteczku niedaleko Lublina. Pracował po kilkanaście godzin na dobę, jeździł po okolicznych wsiach do swoich pacjentów na chłopskich furach, rowerem, docierał do nich piechotą. Rosła w narodzie jego popularność i jako lekarza, i gotowego na każde wezwanie życzliwego człowieka.

Młody podówczas lekarz, mimo przerastających etatowe powinności obowiązków, rozumie, że przyszłość w tym zawodzie gwarantuje tylko nauka, podwyższenie wiedzy i kwalifikacji. W mozole zdobywa kolejne stopnie specjalizacyjne, a wreszcie — w 1969 r. — wymarzony doktorat. Jego praca pt „Gospodarka wapniowo-fosforowa nerek" uznana zostaje przez recenzenta, profesora AM w Krakowie, za unikalną, o dużych walorach nowatorskich, naukowych i klinicznych.

A więc sukces i nie mająca wręcz ceny osobista satysfakcja — że oto koszt wieloletnich wyrzeczeń i benedyktyńskiej pracowitości owocuje nietuzinkowymi rezultatami. Satysfakcja tym większa, że poprzedzona innym niebagatelnym sukcesem: zdobyciem pierwszej nagrody w ogólnopolskim konkursie na opracowanie receptur leków ziołowych.

Zdawać by się mogło, że ten zdolny i pracowity człowiek zacznie teraz, po latach upartego pokonywania barier, zbierać żniwo. Jest jedynym spośród piętnastu lekarzy w miasteczku o tak znacznym dorobku, jedynym posiadaczem tytułu doktorskiego. Toteż, gdy ogłoszony zostanie konkurs na stanowisko ordynatora oddziału wewnętrznego miejscowego szpitala, dr K. ufnie zgłasza swoją kandydaturę. Poza dorobkiem, dobrą opinią u pacjentów, ma inne atuty — więcej niż dobrą rekomendację nieżyjącego już autorytetu, prof. Volta, a prof. doc. Kędra o doktorze K. napisze m. in.: „Jest on dobrze wyszkolonym specjalistą w chorobach wewnętrznych".

Poczta przynosi odpowiedź, w której kierownik wydziału zdrowia byłego urzędu powiatowego dziękuje doktorowi, że zechciał zgłosić swoją kandydaturę do konkursu na stanowisko ordynatora... Ordynatorem mianowany zostaje młody kolega dr. K., lekarz, który dopiero zamierza zdobywać specjalizację, ale lekarz poprzez koneksje rodzinne mocno w środowisko wrośnięty, rzutki, towarzyski. W przeciwieństwie do dr. K., który ma opinię trochę odludka, trochę dziwaka. No bo jakże: 24 lata jest lekarzem, ma tytuł, a nie ma nawet syrenki, mieszka w spółdzielczym bloku, nie pobudował, jak jego znacznie młodsi koledzy, willi z wszelkimi szykanami, nie rozjeżdża się fiatem po Jugosławii, czy Turcji. W ogóle jakiś niewyraźny z niego człowiek. Zamiast przy sobocie i niedzieli wyskoczyć gdzieś na polowanko, zamiast wyjechać na urlop, robi jakieś akcje, w białych niedzielach uczestniczy, sam jeden wykonuje kompleksowe badania wszystkich pracowników WSS, POM, inwestując w to setki godzin swojego prywatnego czasu. Nie pasuje do swego otoczenia, środowiska.

To urzędowe podziękowanie za udział w konkursie ostatecznie wytrąca dr. K. z równowagi. Zawód i gorycz odbierają mu zdolność trzeźwej oceny sytuacji. Zawiedzione, od lat skrywane ambicje owocują rozpaczliwą decyzją: dr K. wypowiada dotychczasową pracę lekarza rejonowego w przychodni, domagając się zatrudnienia na stanowisku bardziej odpowiadającym posiadanym kwalifikacjom, chce pracować tam, gdzie w pełni mógłby wykorzystać latami gromadzoną wiedzę. Życzenie to pozostaje bez skutku. Dr K. przez 18 miesięcy nie pracuje nigdzie...

Trwająca od kilku lat rywalizacja przerodziła się w jawną walkę. Kiedy? Trudno dociec. Może już w momencie nieprzyjęcia propozycji na zakrapianego brydża, w zaraniu kariery. Może po pierwszym liście do redakcji, pierwszej wizycie w ministerstwie zdrowia, gdzie dr K. próbował szukać tego, co określa mianem sprawiedliwości. W każdym razie faktem jest, że w miasteczku od wielu lat dr K. pozostaje w środowiskowej izolacji. Lekarze w miasteczku go nie lubią, niektórzy dostają wręcz gęsiej skórki na sam dźwięk jego nazwiska. Nie kochały go również dawne władze byłego powiatu. Nikt zresztą nie lubi ludzi, którzy sprawiają kłopoty, zwłaszcza w sytuacji, gdy wzięcie ich pod opiekę byłoby równoznaczne z opowiedzeniem się przeciwko całemu, w przypadku lekarskiego — niezwykle solidarnemu środowisku.

Słowem — dr K. musiał przyjść do Canossy. Po 18 szarpiących nerwy miesiącach dr K., obarczony już kompleksami, wrócił do przychodni i w pokorze, ale z bolesną, krwawiącą stale raną, pracuje tam nadal jako szeregowy lekarz rejonowy.

Uparł się, chce, mimo licznych porażek, dowieść swej wartości oficjalnie przecież potwierdzonej. Przed kilkoma laty rozpoczął starania o otwarcie przewodu habilitacyjnego. Od kilku lat nie może się doczekać pozwolenia. Jego zdumiewający upór natknął się na co najmniej równie zdumiewający upór środowiska i w samym ośrodku dyspozycyjnym Akademii Medycznej. Dr K. mimo to nie ustępuje, powiada, że podjął decyzję jeszcze we wczesnej młodości, iż zostanie lekarzem i zrobi wszystko, by zdobyć najwyższe, możliwe w jego przypadku, kwalifikacje. Dr K. utrzymuje, że raz podjęta decyzja powinna być realizowana do końca, bo na tym polega wartość człowieczeństwa.

Napisał już 66 skarg i odwołań do władz centralnych, ministerstwa, rozmaitych redakcji i osób. Osobiście tylko do Warszawy jeździł 26 razy w swojej sprawie. Przeciwnicy, jak dotychczas, nieprzejednanie stoją na swoim stanowisku i mówią zdecydowanie — nie. Jest to rozgrywka toczona w gronie ludzi świetnie zorientowanych, z zachowaniem taktu, dyplomacji, niemal w białych rękawiczkach. Na tle tych oficjalnych pism, utrzymanych w tonie urzędowego spokoju, skargi dr. K. rażą gwałtownością, nieopanowaniem i emocjami, które wyraźnie biorą górę nad argumentami. Niecierpliwość zaś to zły, bardzo zły doradca... Nonkonformizm dr. K., jego nieprzejednanie i upór w rozróżnianiu tylko dwu barw: białej i czarnej z pominięciem normalnych przecież w życiu odcieni i półtonów — stawiają go w pozycji kłopotliwego, cokolwiek natarczywego petenta. Dr K. nie rozumie, a raczej nie chce tego zrozumieć. Powołuje się na klasyków, cytuje w swoich skargach ich myśli. Nie rozumie, a raczej nie chce zrozumieć, że nie zawsze gra, kompromis, zwyczajna umiejętność współżycia z ludźmi musi kryć w sobie zło, często po prostu jest to o wiele szybsza, skuteczniejsza i bezpieczniejsza droga do celu, niż marsz przebojem, ale w pojedynkę.

Dr. K. mógłby, oczywiście, wyjechać na drugi koniec Polski. Ze swoją praktyką i kwalifikacjami pewnie bez większego trudu znalazłby odpowiednie stanowisko, być może upragnionego ordynatora. W niezrażonym środowisku bez trudu mógłby zrobić wymarzoną habilitację. Ale dr K. nie wyjedzie. Jest wierny sobie, raz podjętej decyzji. I jest uparty.

— Niech pan zechce doktora zrozumieć — mówi nauczyciel z miasteczka. — Tu startował, tu pracował jak wół przez ćwierć wieku. Ma uznanie, wręcz miłość swoich pacjentów. Gdzie indziej musiałby wszystko zaczynać od nowa. Poza tym dla niego wyjazd byłby równoznaczny z klęską, musiałby stracić wiarę w siebie zupełnie. I jeszcze żeby pan wiedział: doktora kiedyś przenosili z przychodni do szpitala, potem znów do przychodni. Pacjenci szli z nim wszędzie. To duża rzecz i też o czymś świadczy, prawda?

Ano, świadczy. Tylko czy w najmniejszym choćby stopniu pomoże rozsupłać ten gordyjski węzeł, w który uwikłany został, nie bez własnego udziału, ten warjoś-iowy lekarz i bezkompromisowy człowiek...

ŚWIAT MODY

Ewa Polak

DZIEŃ był słoneczny i rześki, chociaż jesienny. Ulicami Lublina przechadzała się niejaka odświętność, widoczna w ożywionych i rozradowanych twarzach, strojach staranniejszych niż zwykle i pewnej miłej opieszałości w poruszaniu się. Po prostu atmosfera beztroski i wypoczynku, skądinąd zupełnie naturalna podczas tej kolejnej wolnej soboty. Ów nastrój podkreślała jeszcze słuszna inicjatywa realizowana właśnie przed domem handlowym „Sezam". Odbywał się tam pokaz mody jesiennej.

Niewielki tłumek obserwujący wydarzenia rozgrywające się na pomoście dla prezenterów kolekcji sklepu „Sezam" komentował je żywo: „Ale ma gębę nieprzyjemną, co? Taką zaciętą". Dwie umalowane jaskrawo uczennice wymieniały spostrzeżenia pod adresem przechodzącej właśnie po pomoście modelki. Modelka zaś obrzucała zgromadzenie cokolwiek nieśmiałym, jak na jej fach, spojrzeniem i próbowała się równie nieśmiało uśmiechać. Ale poglądy uczennic były niewzruszone. „Taka lala" — podsumowały z nieopisaną wzgardą. Komentator mody jesiennej snuł swym aksamitnym głosem, za pośrednictwem głośników, wyczerpujące, choć trochę rozwlekłe rozważania nad wykwintną formą i zaletami praktycznymi prezentowanych strojów. Widownia, składająca się w dużej części z młodzieży szkolnej płci żeńskiej, zbita w gromadki, pozornie obojętnie lizała lody, ale w rzeczywistości śledziła z uwagą, jeżeli nie szczegóły strojów, to każdy ruch „pań i panów modelujących", jak wyrażał się komentator. Ruchy modelek, nie pozbawione gracji, choć i pewnej uzasadnionej przesady, wzbudzały kontrowersje: „Chodzi jak w wojsku" — zachichotała jakaś staruszka wpatrując się w modelkę w czerwonym, zamaszystym płaszczu, która zbliżała się do końca pomostu. A umalowana uczennica rzuciła w przestrzeń z dezaprobatą: „Co się tak wygina..."

Panowie „modelujący" też wzbudzali spore zainteresowanie, tym większe, że było ich tylko trzech i pojawiali się rzadziej. Wygląd ich został więc poddany skrupulatnej i wszechstronnej analizie przez damską publiczność. „ Co on tak żuje? — zastanawiały się panienki obżerające się lodami, przyglądając się młodzieńcowi prezentującemu kolejny model. „Jeszcze czymś tutaj strzyknie" — dorzuciły z niesmakiem, jak prawdziwe damy. Młody człowiek w kurtce — budrysówce („wraca do łask po kilkunastu latach nieobecności" — doniósł radośnie komentator), usiłujący zachować na twarzy prawdziwie męską obojętność, co nie zawsze mu się udawało, mijał nas właśnie sprężystym krokiem. „Popatrz, to przecież Stasiu! — wykrzyknęła nieoczekiwanie panienka obok. „Ee, co ty" skrzywiła się sceptycznie jej koleżanka. „Stasiu, Stasiu, na pewno, tylko włosy ma krótsze". Stasiu, zdaje się, nie usłyszał tych entuzjastycznych zapewnień, bo właśnie obrócił się z wdziękiem i pomaszerował z powrotem.

Fot. L. Leo

Następnie pojawiły się damskie płaszcze i awangardowe kurtki. Smakowita kolorystyka i progresywne linie nie były jednak w stanie zagłuszyć refleksji psychologiczno-obyczajowych, które cisnęły się na usta widowni. Nawet ceny, też, trzeba przyznać, smakowite nie stanowiły tutaj wystarczającej konkurencji. „To z tego sklepu przedstawiają, prawda? Ci, co pracują tutaj?" — zainteresowała się nagle kobieta, która przyszła niedawno i zajęta była do tej pory wpychaniem batonika w swoją nieletnią córeczkę. Dziecko nie chciało słodyczy, najwyraźniej upojone poszumem wielkiego świata i dźwiękami melodii „Czerwonych Gitar", stanowiących dyskretne tło dla głosu komentatora. Polecał on właśnie „fantazyjny płaszcz w stylu retro". Płaszczyk był rzeczywiście ogromnie retro i nader fantazyjny, ale i to nie wzbudziło większych emocji publiczności, pochłoniętej bez reszty wnikliwym badaniem modelki jako takiej, przy czym nie uszło zbiorowej uwadze, że jedną brew ma „prawdopodobnie jakby cieńszą"... Tylko staruszka powtórzyła z zadumą, jak echo: „Fantazyjny płaszcz", ale w głosie jej oprócz szacunku, dźwięczało niedowierzanie. Stroje zmieniały się w starannie wyreżyserowany i płynny sposób, tylko twarze „zespołu modelującego" pozostawały bez zmian, z równie uprzejmymi, co na początku, ba, pełnymi jakiejś pogodnej i niecodziennej wyrozumiałości uśmiechami.

Tymczasem uaktywniła się męska część widowni. Dwaj jegomoście stanąwszy pod podium dogadywali modelkom ostentacyjnie i ordynarnie. „Takie to muszą być dobre bez tych ciuchów" — rozmarzył się głośno jakiś chłopak. Posypały się grube żarty. Było trochę jak w cyrku. Muzyka, śmiechy, gwizdy. Kryteria, jakimi operowali widzowie w stosunku do ludzi prezentujących modę, nie różniły się niczym od tych, które stosuje się patrząc na tresowane zwierzaki. Na szczęście spektakl nie trwał długo. Komentator przypomniał jeszcze wszystkim, że „zaopatrzenie domu Sezam we wszystkie prezentowane modele jest faktem" i ludzie zaczęli się z ociąganiem rozchodzić. Na twarzach pojawiło się zadowolenie i poczucie pełni. Rozrywka była godziwa. Miło jest dla zdrowia powykrzywiać się trochę i podowcipkować w pogodne, sobotnie popołudnie! Pokaz mody to taka sama dobra okazja, jak każda inna. Tyle że odbywa się bardzo elegancko i to człowieka zawsze cieszy.

Abstrakcjony powiewne

Ireneusz J. Kamiński

Grafika Zofii Kopel-Szulc
Fot. J. Urbanowicz

PIERWSZE sympozjum „Złotego Grona" odbyło się w Zielonej Górze w 1963 roku i od tego momentu impreza ta ciągle zyskiwała na znaczeniu. Nie podważa tej opinii spotkanie sprzed dwóch lat, może nawet i sensowne w założeniu, lecz nieco groteskowe w praktyce. Przypomnijmy, że wtedy właśnie organizatorzy wpadli na pomysł przedstawienia malarstwa i grafiki laureatów przeróżnych festiwali i konkursów plastycznych, które odbywały się wcześniej w kraju. Jak wiadomo, imprez tego rodzaju mamy sporo, okazjonalni mecenasi sztuki ujawniają się w miastach dużych, małych oraz w siołach, do dzieła zabierają się stowarzyszenia użyteczności wyższej i skromnej. Niewątpliwie świadczy to o aspiracjach różnych środowisk i jest zjawiskiem budującym na ogół, co jednak nie zmienia faktu, że konkurs marynistów znacznie odbiega w efektach artystycznych od np. poznańskiego konkursu im. Spychalskiego. Ale w Zielonej Górze 1973 roku jakby zapomniano o tym, więc w rezultacie główna ekspozycja sympozjum zgromadziła obok prac wartościowych rzeczy ucieszne, czyli animale — jak to określił pewien malarz lubelski.

W tym roku przecież, nie rezygnując ze wspomnianego założenia, organizatorzy podeszli do sprawy bardziej rygorystycznie, żeby nie powiedzieć — odpowiedzialnie, i zaprosili do Zielonej Góry laureatów imprez międzynarodowych i ogólnopolskich oraz czołówkę lokalnego Salonu Jesiennego. Sądząc po wypożyczonej przez znajomych liście uczestników, tegoroczna wystawa laureatów prezentowała się okazale. Żałuję wielce, że nie mogłem jej zobaczyć, a przy okazji przyrzekam kolegom z Zielonej Góry, że już nigdy wiecej tak szczerze nie potraktuję żadnej urządzonej przez nich imprezy artystycznej, jak to zrobiłem w 1973 roku na łamach „Kameny" i „Nadodrza". Karcenie krytyków przez pomijanie niesfornych na liście zaproszeń jest metodą skuteczną: świadczy o tym coraz szersze stosowanie tej metody. Drobiazg — powiedzmy — obyczajowy.

Lubelska obecność na tegorocznym, siódmym już z kolei „Złotym Gronie" zaznaczyła się przecież w sposób wyraźny i poważny. Oto jedną z dwóch II nagród wystawy laureatów otrzymała Zofia Kopel-Szulc, a medal sąsiedniej ekspozycji pn. „Przestrzeń człowieka" przypadł Janowi Ziemskiemu. Tak wysokie wyróżnienie artystów lubelskich na jedynej już w Polsce ambitnej i szanowanej przez środowisko imprezie plastycznej nie wymaga dodatkowych słów ozdobnych.

Owszem, Zofia Kopel-Szulc uzyskiwała nagrody na ogólnopolskich i międzynarodowych wystawach czy konkursach graficznych (np. we Francji), dzieła Jana Ziemskiego prezentowane były w krajach skandynawskich, we Francji, Szwajcarii, RFN (duża ekspozycja malarstwa polskiego w Essen 1974), jedno z nich trafiło do S. R. Guggenheim Museum... Już dawno lubelska reprezentacja nie spotkała się jednak z takim przyjęciem, jak teraz, w Zielonej Górze. Jeśli dodamy, że do udziału w wystawie laureatów zaproszono również Andrzeja Kołodziejka i Jana Popka, a trzem innym artystom mijający rok także dostarczył satysfakcji — przyjdzie nam odnotować fakt kształtowania się w Lublinie czegoś w rodzaju „silnej grupy" plastycznej. Czy jest to kwestia przypadku, li tylko indywidualnych predyspozycji poszczególnych artystów, czy też ogólniejszej sytuacji organizacyjno-materialnej i moralnej, sprzyjającej twórczym jednostkom?

Faktem jest, że dzięki przychylności Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej rozwiązano wreszcie w Lublinie problem pracowni plastycznych. Obok Biura Wystaw Artystycznych działają — całkiem sprawnie — mniejsze galerie: „Labirynt" oraz „A" w Klubie MPiK. Pracownie Sztuk Plastycznych zapewniają godziwy zarobek wszystkim, którzy opanowali wiadome rzemiosło. W Kazimierzu i Kraśniku odbywają się doroczne plenery malarskie. Niektórzy plastycy lubelscy regularnie uczestniczą w plenerach na Węgrzech. Na Wydziale Pedagogicznym UMCS otwarto kierunek „wychowanie plastyczne", na którym wykładają m. in. znani malarze z Warszawy, Łodzi i Krakowa. To całe dobrodziejstwo inwentarza sprzyja egzystencji środowiska i w jakimś stopniu ułatwia swobodne uprawianie twórczości.

Ale faktem pozostaje także, że liczące się sukcesy odnoszą stale ci sami artyści starszego i średniego pokolenia, powiedzmy — klasycy sztuki powstającej w Lublinie, indywidualności już ukształtowane, nie znajdujące motywacji do wikłania się w ideowe polemiki. Na dodatek między tą nieliczną grupą a resztą środowiska istnieje przepaść, o czym świadczą chociażby wystawy okręgowe — święto konfekcji triumfującej nad autentyczną sztuką. Nad Bystrzycą pracuje kilku artystów, lecz życie artystyczne cierpi na anemię (mimo że w szalonym tempie wyprodukowano kilku „doktorów sztuki").

Warunki materialne mogą sprzyjać uprawianiu twórczości, lecz nie są czynnikiem decydującym o jej jakości. Bywa także — jakże często — że nadmiar walorów namacalnych najzwyczajniej w świecie demoralizuje ludzi. Teraz się dorabiam, później chwycę za pędzel — mawiają poniektórzy biesiadnicy klubu „Nora". Chciałoby się zapytać: kiedy? Na łonie Abrahama?! Obszerne pracownie i liczne zlecenia na roboty użytkowe są na pewno potrzebne, lecz nie zainicjują w Lublinie autentycznego ruchu artystycznego. Powstaje on bowiem w sferze myśli, w trakcie dyskusji, polemik, konfrontacji poglądów — w pejzażu różnorodnych postaw. W Lublinie jeden maluje tak, inny inaczej, ten ma takie poglądy, drugi stoi w cichej opozycji. Ale otwartych polemik nie ma. Bo znamy się wszyscy wzajem, wiemy, kto co potrafi, co lubi, czego nie cierpi. Znudzeni jesteśmy sobą, uduszeni w sosie własnym...

Nie jestem pewien, czy jest to najlepsze i jedyne wyjście z impasu, niemniej raz jeszcze ponawiam propozycję uruchomienia w Lublinie jakiejś stałej, cyklicznej, z odpowiednim rozmachem urządzonej i sensownie zaprogramowanej imprezy artystycznej o zasięgu choćby ogólnopolskim. Niech to będzie wystawa, niech to będzie sympozjum, niech to będzie festiwal pokrewny organizowanemu właśnie w Bydgoszczy pod hasłem „Sztuka faktu"... Niech to będzie przede wszystkim stałe miejsce dyskusji artystycznych, obejmujących sprawy aktualne, ważne i dwuznaczne. Osobiście widziałbym Lublin w roli gospodarza sympozjum połączonego z wystawą, której zawartość merytoryczna byłaby swoistym komentarzem do rzeczywistości społecznej kraju. Organizowanie dość popularnych jeszcze pokazów autorskiego egotyzmu, eksponujących „JA" tego czy innego pana, choćby się nazywał Andy Warhol, uważam za przejaw tchórzostwa i niewiedzy o tym, co kształtuje dziś życie jednostki i zbiorowości.

Mam nadzieję, że proponowana impreza wyszłaby na zdrowie całemu środowisku Lublina, szczególnie zaś plastykom młodym. Powinni oni tworzyć naturalną opozycję wobec starszych pokoleń, tymczasem na ogół tworzą pano, co zresztą chętnie im wytykamy przy byle okazji — zapominając na wszelki wypadek o odpowiedzialności, jaka spoczywa na ludziach dojrzałych za uformowanie określonego klimatu moralnego i zespołu motywacji codziennej aktywności. Tak czy inaczej, dopóki młodzi nie wkroczą energiczniej w życie środowiska z własnymi pomysłami na świat, z własnym o nim myśleniem, dopóty „głaskanie kota z włosem", czyli wystawa okręgowa, będzie najbardziej frapującym wydarzeniem sezonu. Aż kota zagłaszczemy na śmierć.

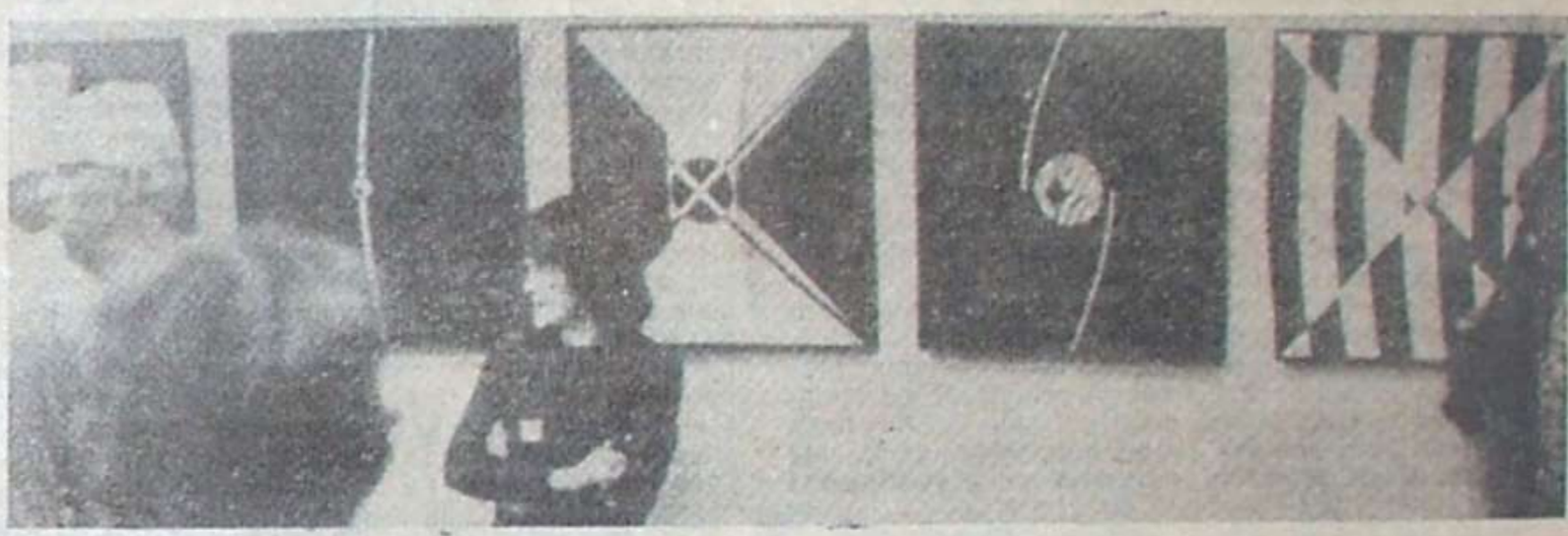

Fragment wystawy VII „Złotego Grona" z pracami Jana Ziemskiego

Czy nie należałoby wyciągnąć wniosków z rozwoju sytuacji w literaturze powstającej w Lublinie? Do niedawna — w moim przekonaniu — była to ziemia raczej jałowa, sporadycznie rodząca coś bardziej okazałego, widocznego w perspektywie krajowej. Obecna prasa, przynajmniej raz na kwartał, informuje o kolejnej nagrodzie, o kolejnym wyróżnieniu lubelskiego poety czy prozaika w ogólnopolskim konkursie literackim, w imprezach organizowanych w Gdańsku, Łodzi, Warszawie. Ci laureaci, to ludzie młodzi, którzy ostro weszli w życie literackie, proponując własne rozumienie poezji i prozy, własne pojmowanie świata — w zasadzie obce estetyzującym pieszczoszkom i dworskim strażnikom zwietrzałych świętości. Po Marii Józefackiej, Henryk Makarski i Aleksander Rozenfeld, Henryk Kozak i Marian Kawałko, Janusz Olczak i Zbigniew W. Fronczek usiłują wyprowadzić literaturę lubelską z zaścianka — oby starczyło im oddechu! Co jednak ważniejsze: w ich twórczości odbija się polska rzeczywistość lat siedemdziesiątych — w całej okazałości, w całym swym dynamicznym skomplikowaniu. A nasi młodzi plastycy koniki jakoweś malują, romantyczne wnętrza ze stalugami, abstrakcjony powiewne, eksplozyje kosmiczne. Powstaje to wszystko bez głębszego przekonania, bez związku z zasobem ludzkich doświadczeń autorów, bez celu, jako że malowanie obrazu „na wystawę" za cel poważny uznać nie można. Taka produkcja nie prowokuje intelektualnie, nie wzbudza większego zainteresowania i być może dlatego młodzież plastyczna oddaje się w końcu zajęciom ekonomicznym — niestety, bez reszty.

Byłoby zapewne inaczej, gdyby udało się w Lublinie stworzyć klimat permanentnej dyskusji artystycznej. Zacznijmy, proponuję, od uruchomienia wspomnianej imprezy ogólnopolskiej (przy okazji korygując założenia programowe plenerów w Kazimierzu).

Anna Borkowska

* * *

nie umiem już pisać
batalia o chleb rozpoczęta
dwa miliony
niedorosłych obywateli
sąsiednich kontynentów
umierają z głodu
siedzą we mnie ziarna słów
zboże czeka na omłoty
batalia o chleb
dobiega końca
tylko ja
tylko mnie nie udało się
otrzymać garstki
białej mąki wiersza

EROTYK

Maćkowi

tak staliśmy się
jednym oddechem
ruchem rąk
szukaniem drogi
z mielizn nieobecności
w zbliżenie
w gaść łez po zeschniętym żalu
tak staliśmy się na krótko
bezwiednie i po co
bez pożegnań
ty wiesz
zostawiłam życie
gdzieś blisko serca
dla ciebie

Nie ma mocnych?

Rys. A. Stok

JEDNO z pytań zawartych w końcowym fragmencie mojego czerwcowego reportażu o stosunkach panujących w lubelskim hotelu „Unia" („Unia" — Nie mylić z pomnikiem" — „Kamena" nr 12/1975) brzmiało:

— Kontrole, kontrole, kontrole... A może jedna, ale solidna? Złożona z fachowców wysokiej klasy? Niespodziewana!

Ostatnie z nich sformułowałem, jak tytuł tego artykułu. Nie bez przyczyny, bo moi główni rozmówcy: kierownik restauracji i kawiarni Janusz Derkaczew, zastępca dyrektora do spraw gastronomicznych Stanisław Karczmarczyk i sam dyrektor Józef Cnota rzeczywiście uważali, że nie ma na nich mocnych, dając do zrozumienia jak bardzo są ustosunkowani. Pracownicy „Unii" mieli podstawy w to wierzyć, bo większość kontroli lubelskich i warszawskich miała raczej charakter kurtuazyjny. Nawet ostatnia — przed ukazaniem się reportażu — komisja, która badała skargi pracowników, uległa elokwencji dyrekcji, dała kilka wskazówek polepszenia sytuacji, a wśród nich zalecenie o konieczności zwolnienia tych, których szefowie tej placówki uważają za „rozrabiaczy". I w momencie, kiedy wydawać się już mogło, że załoga przycichnie i podda się presji kierownictwa hotelu, jednostki pokrzywdzone i zwolnione odwołały się do prasy. Wtedy właśnie ukazał się reportaż w „Kamenie".

Dyrektor niewiele stracił z pewności siebie. Przede wszystkim szukał sposobów zatarcia przykrego wrażenia po tej publikacji, wokół niego była grupa wypróbowanych, pieczołowicie dobranych ludzi, którą pozyskał sobie korzystnymi przeszeregowaniami, awansami i nagrodami, umożliwieniem większych zarobków kelnerskich, przymykaniem oczu na małe czy większe szwindelki, albo też brak kwalifikacji — tych papierkowych i rzeczywistych.

Nadużywając wartości tego słowa, nazywał ich aktywem przedsiębiorstwa. Zwołał więc naprędce ten „aktyw", rozdzielił na głosy, co kto ma mówić na najbliższym zebraniu załogi. Tam recytowano już składnie o osiągnięciach przedsiębiorstwa, przedterminowym wykonaniu planów usługowych i finansowych. Ludzie harują, a za to poświęcenie, z podjudzenia aspołecznych jednostek, spotyka załogę taka zniewaga w czasopiśmie! Komedię odegrano ze znawstwem i sugestywnie w obecności przedstawiciela władz miejskich. Milcząca większość, która spodziewała się rzetelnych odpowiedzi na zadane w reportażu pytania, zawiodła się całkowicie, a widząc triumf dyrektorów i kierownika, straciła nadzieję na polepszenie stosunków międzyludzkich w hotelu.

Mimo sugestywności wypowiedzi na wspomnianym zebraniu władze wojewódzkie i miejskie im nie uległy. Powołały komisję, w której skład weszli handlowcy, działacze i prawnicy. Od tego momentu akcja działa się niejako na dwóch planach. Zespół ten przez wiele dni przesłuchiwał — jak się wydaje bardziej obiektywnie niż poprzednie komisje i kontrole — kilkadziesiąt osób, dawniej i obecnie pracujących w „Unii".

Równocześnie w tej placówce nie ustawały szykany wobec kontrolera wewnętrznego, Mieczysława Swiderka, który wykrył w magazynach kuchni półmilionowe nadużycie, uzyskane przez zawyższone wpisywanie tysięcy litrów herbaty dla pracowników. Nie miał on ani jednego upomnienia w aktach (ba — otrzymał nagrodę!), lecz miał podstawową wadę — był nieprzekupny. Innym „niesfornym" próbowano przymknąć usta. Natomiast „swoich" wręcz pouczano, co mają przed komisją mówić. Uczciwa część załogi wahała się z początku: mówić całą prawdę, czy udawać, że nic nie ma do powiedzenia. Kiedy jednak zorientowano się, że komisja dąży rzeczywiście do poznania ich sądów, że faktycznie pragnie rozeznać się w sytuacji, zapraszani na rozmowy stopniowo zaczęli mówić. Ich relacje przeważyły wymowę zeznań podopiecznych kierownika restauracji i dyrektorów.

Jest jeszcze trzeci plan tej historii: w warszawskim Zjednoczeniu Gospodarki Turystycznej. Do tej zwierzchniej jednostki docierały sygnały o defraudacjach i sobiepaństwie dyrekcji „Unii". Wiedziano, że od początku ubiegłego roku do chwili obecnej w tej placówce zwolniono aż 105 pracowników spośród 180-osobowej załogi. Wśród zwolnionych i tych, których metodą dobrowolnego przymusu nakłoniono do zwolnienia się, było wielu dobrych i sumiennych fachowców, z różnych jednak względów niewygodnych, bo nie zamykających oczu na zło. O nich to dyrekcja najczęściej mówiła, że odeszli „ze względu na stosunki międzyludzkie" „nie potrafili zżyć się z załogą". „Odstawali". Robiono to zgodnie z prawem i w Sądzie Pracy nikt jeszcze z pokrzywdzonych nie wygrał. Inspektorzy, owszem, przyjeżdżali ze Zjednoczenia ale pozwalali kierownictwu „Unii" nadskakiwać sobie, wozić do drogich lokali w Lublinie, Nałęczowie, Puławach i Kazimierzu. Zawsze brali stronę dyrekcji, nigdy pracowników, gdy przypadło im rozpatrywać jakąś skargę. Kierownik działu kontroli wewnętrznej, Ostrowski, wielokrotnie przyjeżdżał do „Unii", lecz ani razu nie przeprowadził kontroli pracy swego podwładnego, inspektora wewnętrznego tej placówki, nawet nie zlustrował jego pokoju! Nie mniej dziwne było zachowanie inspektorki Jagiełły z działu kadr i innych osób. Z reguły wszyscy inspektorzy i dyrekcja Zjednoczenia polegali jedynie na opiniach kierownictwa lubelskiego hotelu. Po co przyjeżdżali? Podbić delegację? To bagatelizowanie sprawiło, że w czasie czteroletniego istnienia hotelu po raz trzeci trzeba powołać nową dyrekcję, a załoga została wymieniona już wielokrotnie. Zachowanie się wicedyrektora Zjednoczenia, Pociągla, na zebraniu załogi 2 września, świadczy, że dyrekcja, którą reprezentuje, nie pojęła dotąd, co naprawdę w „Unii" się wydarzyło. Na równi np. potraktowano tych, którzy zawinili, jak i tych, którzy do ujawnienia nieprawidłowości w walnej mierze się przyczynili, a mianowicie kierowniczkę służby pięter Mieczysławę Glijerową i kontrolera wewnętrznego Mieczysława Swiderka (notabene nie poproszonego na naradę, choć był obecny w pracy). Nakazano ich zwolnić „ze względu na stosunki międzyludzkie w zakładzie", doprawiając im twarze rozrabiaczy i intrygantów. Ponieważ ogłoszono to wraz z decyzją o zwolnieniu szefa kuchni i jego zastępcy oraz kierownika restauracji, dano pouczającą lekcję, że krytykować nie warto, przestępstw wykrywać nie należy, trzeba żyć według zasady: ja nikogo nie ruszę, to i mnie nikt nie ruszy. W dodatku wszystkim już było wiadomo, że dyrektor otrzymał w lipcu siedmiusetzłotową podwyżkę pensji z racji ukończenia studiów wyższych, a więc takich, którymi na tym stanowisku powinien się legitymować od początku kariery.

Wróćmy jednak do tych tygodni, kiedy pracowała jeszcze komisja, przenieśmy się na plan pierwszy, do samej „Unii". Dyrektor i jego najbliżsi współpracownicy starali się podważyć morale tych, którzy coraz jawniej krytykowali ich sobiepaństwo
owych osób,
inna się méc
ku i przegra
ma jakoby
nowej aferze
odpowiednio
rysował się
kliki. Można
która w kli
wym praco
ma posłuch
kształcenie
stanowisku,
nieniu choro
mie i nagrod
tych — za
nywaną? —
le było też
lifikacje są
wała ją za
zrobić, więc
gryźć kierow
jednak treść
kierownikowi
broniła obu
orientacje w
miast przesta
z grupą kier
niana komisj
tury sprawę
końca.

Na pięć dn
zebraniem dy
do ... socjolo
i w jej towar
cowaną przez
ludzie musieli
stępujące pyt
— Czy ujaw
przed zało
— Czy ujaw
nimy?
— Co uczyni
czy zwolni
czy ukarać
czy pozost

A więc mu
nych i praw
jący dyrekto
dzi i tym s
„głosował". D

RYBIA ŚMIERĆ

Dokończenie ze str. 1

się godnym uwagi okazem. A węgorz — nawet osiem i dziewięć lat. Na Wieprz zwraca się szczególną uwagę, bo rzeka aż do ujścia Bystrzycy mieści się w II klasie czystości wód, można w niej się także kąpać. Więc w ciągu ostatnich trzech lat wpuścili tam 2 400 kg narybku i 36 milionów sztuk ikry. (Nie bardzo się orientuję, jak można ją liczyć na sztuki!).

Udało się dyrektorowi Czarnasowi namówić na ten wyjazd znajomego z Lubelskich Fabryk Wag. W godzinę po „syrence" pana Tylutki, sympatyka i społecznego działacza PZW, wyruszamy fiatem do Krasnegostawu. Tuż za Piaskami trzeba jeszcze skręcić w lewo do Gospodarstwa Rybackiego w Siedliszkach. Droga wiedzie wzdłuż połyskujących w dole tafli stawów. Nagły zjazd, za hamującym samochodem wali kłąb kurzu i uderza o ścianę miniaturowego domku. Mgr Girsztowtt, doglądający w gospodarstwie odłowów, porywa tylko płaszcz i aktówkę.

Gospodarstwa Rybackie w Siedliszkach i w Łanach koło Markuszowa produkują razem ok. 15 ton materiału zarybieniowego. Wylęga się tu karaś złoty i srebrny, lin, płoć, wzdręga, szczupak, karp zwykły, pojawiający się na wigilijnych stołach, i dziki karp dunajski zwany sazanem. Przed dziesięciu laty ściągnięto go z Węgier, zadomowił się u nas, podczas gdy w ojczystym Dunaju wyginął zupełnie. Oczywiście, produkcja tych dwu gospodarstw nie pokrywa potrzeb PZW. Narybku jest za mało, a poza tym co wybredniejsze gatunki nie mają tu warunków do tarła i wylęgu. Dokupuje się więc w zaprzyjaźnionych gospodarstwach ok. 5 ton materiału zarybieniowego, ale żeby pokryć w całości najpilniejsze potrzeby przydałoby się rozprowadzić po rzekach i jeziorach kolejne 10 ton. Na razie jest to niemożliwe, ale właśnie PZW przejął do zagospodarowania Ośrodek Zarybieniowy w Dębicy nad Tyśmienicą i wiele sobie po tym fakcie obiecuje. Za pięć lat staną tam wylęgarnie z podgrzewaną wodą, nad pogłębionymi stawami rozepnie się dachy z folii. W takich warunkach będzie można hodować nawet wymagające sumy i sandacze. Wtedy tylko jeden ośrodek w Dębicy będzie dostarczał 30 ton materiału zarybieniowego. Kosztowny obiekt: kilkanaście milionów złotych. Ale opłaci się na pewno, bo w najbliższej pięciolatce przybędzie rzek i jezior do zarybienia. Plany perspektywiczne zakładają bowiem, że w 1980 roku nie będzie ani jednej rzeki martwej biologicznie. A obecnie jest ich na Zamojszczyźnie i w woj. lubelskim jeszcze kilka. Wystarczy wymienić Bystrzycę, Łabuńkę, Huczwę, czy Bug, które na pewnych odcinkach przypominają brudne kanały.

Na moście w Krasnymstawie kilku gapiów przewieszonych przez barierkę wpatruje się w leniwy nurt Wieprza. Na zielonych łąkach wzdłuż bulwaru grupki ludzi. Jest także dwu milicjantów. Obserwują i rzekę, i ludzi.

— Fala już przeszła?

— Pół godziny temu, może więcej. Łapie kto może i czym może. Więc pilnujemy.

Mgr Girsztowtt biegnie znad wody w naszą stronę. W ręku trzyma małą rybkę. Kiełbik jest cały pokryty śluzem i ma przekrwione skrzela.

— Brak tlenu. Na pewno potwierdzą to analizy. Jeśli tylko laborant z Ośrodka Badań i Kontroli środowiska trafił na falę zatrucia i pobrał próby, na pewno uda się ustalić stężenie trujących substancji i sprawcę. Niełatwo jest natomiast ustalić rozmiary spustoszeń w rzece po takim zatruciu. Przedstawiciele PZW uważają, że straty w rzeczywistości są większe niż to wynika z obliczeń ekspertów. Zaś zakłady pracy zanieczyszczające wody sugerują, że suma odszkodowania przekracza na ogół wartość strat.

Bramy wjazdowej do Spółdzielni Inwalidów, której zabudowania wyrastają z łąki nad Wieprzem, strzeże umundurowany strażnik.

— Wy tu cały dzień tak stoicie?

— A stoję. Ja na służbie — zaciągnął wschodnio.

— Nie zauważyliście czego nad rzeką? Blisko jesteście. Z placu widać wodę.

— A toż ja niedowidzę — wskazał na szparkę między powiekami.

— Musieliście coś zauważyć. My nie chcemy prowadzić dochodzenia. Chcieliśmy tylko zorientować się, czy dużo było ryb martwych.

— No, chyba że tak — rozprężył się stary. — Czasu ja specjalnie nie miał, bo ja na służbie. Ale ot, z ciekawości, i ja na chwilkę popatrzył. Biała ryba płynęła. Nieżywa. Ale żywa też była. Z pyszczkiem na wierzchu.

— Dużo tego płynęło?

— Nie tak znowu wiele. Trzy lata temu, to tyle jej płynęło, że my ze szwagrem i innymi w Łopienniku ze 200 kg złapali. Tam był camping PZDL-u, łódka i wiosło. A ile krzaków, tyle ryb było. A szczupak jeden, to taki, ot jak człowiek był. To mój szwagier mówi: „Wiosłem go!". Huknąłem kantem, ale gdzie tam, opłynął łódkę leniwie i poszedł na głębszą wodę. Ja w życiu takiego szczupaka nie widział. Oj, nałapali wtedy ludzie, nałapali.

Krótka narada i zapada decyzja: jedziemy w dół rzeki. Może uda
nam się trafi
chód tłucze si
koleinami. W
błonia upstrz
kcikami krów.

Mgr Girszto
żo upieczony
przed piętnast
pamięta niejed
rzu. Ta sprze
największa. Z
rownia Kleme
szkodowania.
mu zdarzyła si
nie ocalały ni
wet wodorosty
ło. A straty
1 700 tys. zł. O
le się jednak
lata były zup

Samochód st
grzezawisko. Id
pocętkowanych
zarośli. Sacza
poszarzałego
metną wodę. T
kręcą się niesp

— Śniętych
ryb nie widać.

— Może fala
rozcieńczyła się

— A może je
To ponad 10 k
a nurt tu niezb

Starszy asyst
żański, który d
jechał godzinę
czoło fali tuż
dzie drgały str
wej, po krzakac
cac białymi brzu
nie. Diagnoza
Silne zatrucie
nieznanymi.

Praca laborant
kach przypomin
tektywa tropiąc

Kamena str. 8

do zdyskredytowania
że ta „się puszczała", a
zawodowo w porząd-
em Pracy, że ktoś inny
ny „udział" w benzy-
ęli zaczęły przychodzić
" listy. Ale w nich
wśród zgranej dotąd
ytać o pewnej „babie,
szale szkodzi uczci-
enia ich przydatność,
a sama posiada wy-
wymagane jest na jej
ał przebywa na zwol-
trzymuje wysokie pre-
roku około 6 tys. zło-
Za jaką, kiedy wyko-
ośnie konkurenci. Wie-
innej pani, której kwa-
kie, a dyrekcja awanso-
ie wie teraz, co z nią

...cjże!

Tadeusz Jasiński

sposobami próbuje wy-
ter. Przede wszystkim
a skierowana przeciw
i szefom kuchni, a
Różne więc okazały się
olonej załodze". Nato-
racownicy nie związani
by wierząc, że wspom-
PIH, MO i prokura-
ą sprawiedliwie i do

pomnianym na wstępie
a odwołał się o pomoc
kierowniczkę recepcji
dał pracownikom opra-
ietę. Pod ich nadzorem
ieć natychmiast na na-

zne skargi i anonimy

piszące skargi i ano-

obami:
y?

arając?
istnieć lista domniema-
torów listów. Ankietu-
ał kolejność odpowie-
iedział się, kto i jak
sprawę wdały się wła-

dze i udaremniły tak „demokratycznie" przygotowane represje.

Wobec tego obaj dyrektorzy przyjęli inną taktykę. „Zaopiekowali się" Świderkiem. Po nieskutecznych namowach, aby zwolnił się na własną prośbę, wręczono mu wymówienie. Nie czekając, aż Glijerowa wróci po operacji do pracy, zarządzono przekazywanie majątku wartości około 300 tys. zł innej osobie, należącej do grupy zaufanych. Równocześnie niedawnej kierowniczce służby pięter po latach dobrej i nienagannej pracy przygotowano wymówienie, wszystko zgodnie z treścią zebrania z początku września.

Do tej chwili kilkakrotnie zmieniano daty wręczenia i ważności wymówienia, ale na swoje „szczęście" Glijerowa jeszcze choruje.

Równocześnie obaj dyrektorzy „wybielają się", twierdzą, że są tylko ofiarami pomówień i tego, co działo się na dole, a więc w kuchni i jej magazynach. A któż to chciał sobie dać rękę uciąć za to, że „na dole" dzieje się wszystko uczciwie, że kontrola wewnętrzna uwzięła się na szefów kuchni i kierownika restauracji, że obraźliwe są pytania, czy istniał tam system wydzielania z zarobków tzw. doli czyli łapówek, że nie wynoszono tobołów z magazynów kuchni? I jaki miał w tym interes? Potwierdziła się przecież, wykryta przez kontrolera Mieczysława Świderka, a tak bagatelizowana przez dyrekcję i Zjednoczenie, afera herbaciana. Spowodowane przez władze wyrywkowe kontrole pracowników Państwowej Inspekcji Handlowej potwierdziły poprzednią tezę MO i reportera, że nikt bynajmniej nie wypijał tylu tysięcy hektolitrów herbaty, ale że półmilionowa nadwyżka została odpowiednio wykorzystana w postaci szynek, mięsa i kiełbas, „opylanych" różnym osobom. Stwierdzono przy tym, że szef kuchni jest człowiekiem niezamożnym. Owszem, wypić lubi. Był zawsze gorliwie broniony przed wszelkimi wnioskami z zewnątrz o zwolnienie go z pracy. Skoro sam nie miał zbyt dużych korzyści z malwersacji, to w czyim interesie, na czyj rozkaz tak nierozważnie się narażał? Przyjmijmy jednak, że winien tylko „dół". Jakże więc ma się rzecz z wykonywaniem przez dyrekcję i kierownika restauracji obowiązku kontroli i nadzoru? Czemu więc utrudniano pełnienie obowiązków kontrolerowi wewnętrznemu, a następnie zakazano mu interesować się tym, co się dzieje na „dole".

Tym, których przedtem i teraz zwolniono, albo „poradzono" się zwolnić, potrzebne są opinie. Otrzymują je z rąk swoich szefów na piśmie, ale zdarzają się także telefony do kolegów w tych dyrekcjach, w których zainteresowani starają się o pracę. Czy więc Zjednoczenie nie powinno było okresowo ograniczyć kompetencje ustępującej dyrekcji wyłącznie do spraw związanych z bieżącą pracą hotelu, restauracji, kawiarni i kuchni? Czy komisja i dyrekcja Zjednoczenia nie powinny były dać satysfakcji Glijerowej i Świderkowi? Tymczasem jakby pogodzono się z brutalnym „załatwieniem" obojga.

Należałoby krytycznie przejrzeć, wraz z zainteresowanymi pracownikami, ich teczki personalne: nie tylko jeśli chodzi o zaszeregowania, ale i o znajdujące się tam niesłuszne upomnienia i nagany. Pochwały także! Trzeba jeszcze lepiej zorientować się, kto komu brat, żona czy swat.

Sprawa „Unii" zmierza do rozwiązania zgodnego z oczekiwaniami ludzi, którzy nie zgadzają się z lekceważeniem prawa, etyki, poczucia społecznego dobra. I to jest wydźwięk optymistyczny.

P.S. Zastępca szefa kuchni pojechał pitrasić polskim załogom w Libii. Dyrekcja wydała mu znakomitą opinię i to w czasie, gdy prowadzono przeciwko niemu dochodzenie.

II P.S. O stosunkach w „Unii" — zwłaszcza obyczajowych — napisał krytycznie „Sztandar Ludu" z 11—12 października (Stawiamy kropkę nad „i", bo z tekstu można się tylko było domyślać, że o „Unię" chodzi).

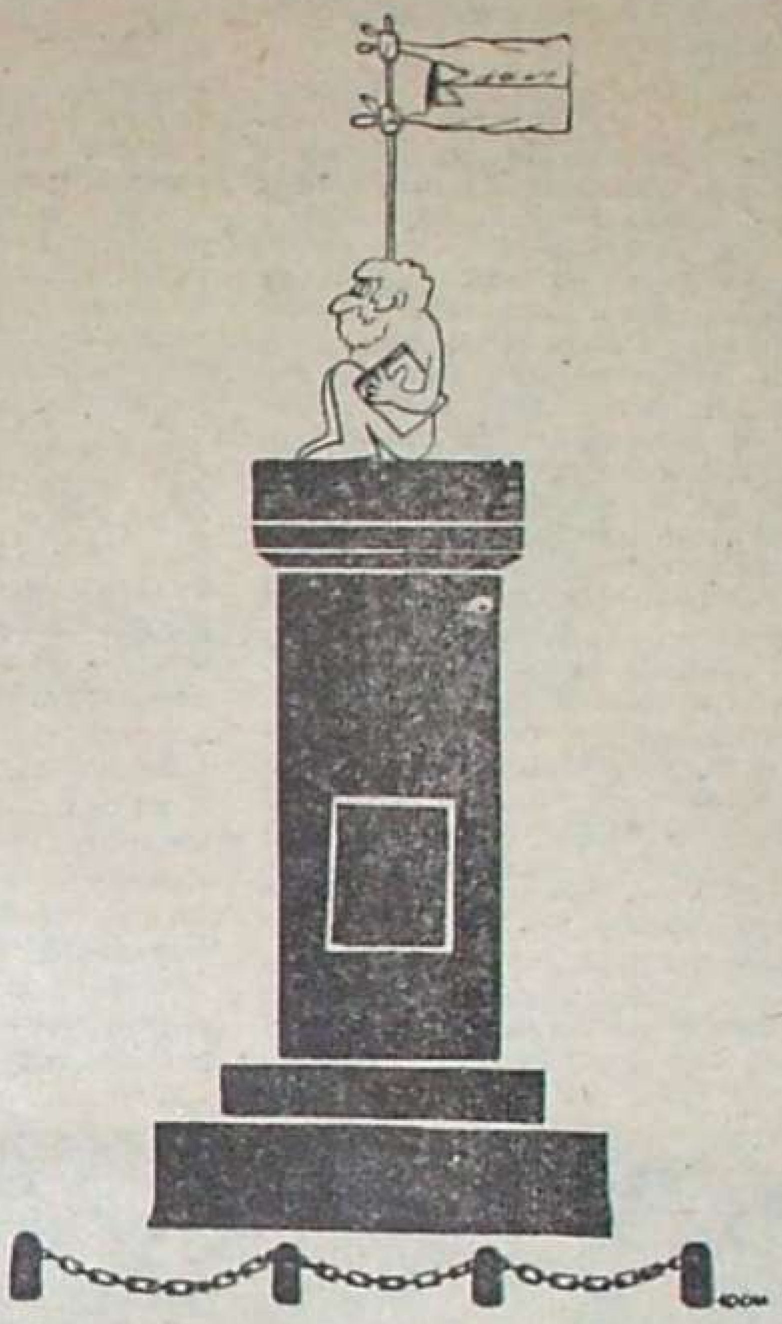

„UNIA — Nie mylić z pomnikiem" („Kamena" nr 12)
Rys. A. Stok

fali. Samo-
gą żłobioną
na rozległe
mymi pun-

jako świe-
rozpoczął
cę w PZW,
na Wiep-
at nie była
wtedy cuk-
tys. zł od-
aście lat te-
wa tragedia,
by, ale na-
rzece zamar-
o wtedy na
czasu wie-
Ostatnie trzy
kojne.

że zagradza
ką w stronę
ni września
ki ciepła z
atrzymy w
powierzchnią
małe rybki.
ziobkujących

szczenia już
tej wodzie?
dopłynęła?
snegostawu,
i.

niew Were-
gostawu za-
nami, złapał
em. W wo-
bni ścieko-
y się, świe-
płocie i oko-
ednoznaczna.
cjami orga-

kich wypad-
ę trud de-
estępcę. Co

prawda laboranci znają dobrze „trucicieli-recydywistów" i często wystarczy im spojrzeć na wodę, powąchać ją, żeby wytypować podejrzanego, ale udowodnienie winy czarno na białym wymaga żmudnych badań i analiz. Tym żmudniejszych, że ciasnota panująca w pomieszczeniach lubelskiego Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska nie pozwala rozpakować fotometru, służącego do wykrywania sodu i potasu w wodzie. Oczywiście, robi się te analizy, ale bardziej pracochłonną metodą.

Wereżyński pojechał w górę rzeki, aż do miejsca, gdzie z wysokiego komina walił bury dym, a drogę znaczyły wozy konne, ciągniki i samochody naładowane burakami. Pobrał próby powyżej cukrowni Klemensów. Woda była czysta. Poniżej zaś wzrosło zanieczyszczenie i pojawił się zapach buraków, co w sumie nie stanowiło jeszcze zagrożenia dla fauny w rzece. Ale już niżej, za kompozycją płaskich budynków i stalowo-szarych walców, czyli za Lubelskimi Zakładami Przemysłu Tłuszczowego w Bodaczowie, woda była odtleniona, a zapach buraków wzbogaciła specyficzna woń zjełczałego masła. I stąd właśnie ruszyła fala zatrutej wody, niosąca ze sobą śnięte i dziobkujące ryby.

Podejrzani do niczego się na początku nie przyznają. Takie to już przyjęto widocznie reguły gry. Dopiero kiedy są oficjalne wyniki analiz, poparte wyliczeniami ekspertów, zakłady, choć opornie, kapitulują.

Cukrownie Klemensów i Lubelskie Zakłady Przemysłu Tłuszczowego w Bodaczowie Wieprz dzieli nie tylko geograficznie. Argumenty, jakie usłyszałam w sąsiadujących ze sobą zakładach, ułożyły się w osobliwy, ale bardzo charakterystyczny dwugłos.

Każde zatrucie w rzece ściąga na Klemensów kontrole. Wtedy oni mówią: „Zajrzyjcie także do sąsiada".

W Bodaczowie zaś panuje ogólne przekonanie, że katastrofalne zatrucia zdarzają się tylko w okresach kampanii cukrowniczej, a oni pracują przecież na okrągło 11 miesięcy.

W Klemensowie w latach pięćdziesiątych rozbudowano cukrownię. Niestety, tylko jej część produkcyjną. Zapomniano o magazynach na cukier, pomieszczeniach socjalnych i nowocześniejszych urządzeniach ściekowych.

Zakłady w Bodaczowie budowano także w latach pięćdziesiątych. Od tamtego czasu produkcję potrojono, oczyszczalnię ścieków pozostawiono jednak prawie bez zmian.

Cukrownicy twierdzą, że trzy lata temu dostali dobrą nauczkę. W wyniku awarii część melasy wyciekła ze zbiornika wprost do Wieprza. Kosztowało to zakład 300 tys. zł. Więc teraz obwarowali się ze wszystkich stron. Usypali wysokie wały między zbiornikami melasy a rzeką. Zbudowali zbiornik na tzw. wody spławikowe, czyli te, które odprowadza się do rzeki po płukaniu buraków. Jest przygotowana dokumentacja na następny, jeszcze większy zbiornik. Pogłębili i poszerzyli osadniki na białe błoto — pozostałość przy przeróbce buraków. Jest gotowa dokumentacja na budowę ścieków sanitarnych, a w 1977 roku rozpoczną budowę chłodni wód barometrycznych, która zamknie obieg wód we wnętrzu cukrowni. To bilans tylko ostatnich trzech lat.

Zakładom Przemysłu Tłuszczowego w Bodaczowie nigdy winy nie udowodniono, choć podejrzeń było dużo. W tej chwili, żeby ostatecznie oczyścić się z podejrzeń, zlecili systematyczne badania swoich ścieków ekspertom z Akademii Rolniczej w Lublinie. To prawda, że odprowadzają znacznie odtlenione ścieki do Wieprza. Ale jeszcze w tym roku powinien być gotów dodatkowy odstojnik.

Licytacja mogłaby trwać dalej, ale już z tych zestawień wynika, że ochrona środowiska do niedawna była kopciuszkiem, niewartym żadnych nakładów inwestycyjnych, bo oczyszczalnie nie przynosiły zakładom bezpośrednich korzyści. Tymczasem teraz nadszedł czas, gdy trzeba patrzeć nieco dalej, poza własne podwórko. W wytycznych Komitetu Centralnego na VII Zjazd Partii podkreśla się konieczność dalszej pracy nad ochroną naturalnego środowiska człowieka. I aby nadać tej sprawie najwyższą rangę, myśli się o przygotowaniu — przy współudziale nauki i zainteresowanych kół zawodowych — ustawy o ochronie środowiska.

Mimo systematycznego porządkowania „gospodarki ściekowej" przez zakłady produkcyjne zdarzają się przecież jeszcze katastrofy, jak ta, na Wieprzu. Może to tylko dzieło przypadku? Wobec tego przypadków nadal jest dużo, skoro wojewoda zamojski podczas swej krótkiej kadencji ściągnął niebagatelną sumę pół miliona złotych kar za zatruwanie środowiska naturalnego. Wśród ukaranych figuruje także Bodaczów. Kto wie, czy po kampanii cukrowniczej w statystykach tychże nie pojawi się także Klemensów? Rzecz w tym, by na przyszłość uniknąć wszelkich przypadków i niespodzianek.

Małgorzata Sawicka

BERGENDY

super grupa na miarę rocka

Istvan Grabowski

WIELKIM powodzeniem cieszy się u nas od kilku lat węgierska muzyka rozrywkowa. Okres letni był tradycyjnie okazją do wielu wizyt muzycznych zespołów węgierskich. Tegoroczne koncerty sprowadziły do naszego kraju takie czołowe grupy jak: Omega, Locomotiv GT, Hungaria, Skorpio, Piramis i Bergendy. Wśród plejady wykonawców znad Dunaju największą popularnością cieszy się, zdecydowanie najlepsza grupa Bergendy. Jej powstanie łączyć można z rodzeniem się całego nurtu węgierskiego muzyki rozrywkowej. Powstała bowiem w 1960 roku, kiedy nie mówiło się jeszcze nic o beacie. Przynajmniej w Budapeszcie. Pierwsze występy tej formacji jazzu tradycyjnego w klubie Wyższej Szkoły Ekonomicznej zgromadziły dużą grupę zwolenników „młodej muzyki". Przez kilka lat Bergendy pod wodzą saksofonisty Istvána Bergendy grało różne odmiany jazzu.

Prawdziwa kariera grupy rozpoczęła się dopiero w 1971 roku, kiedy leader Bergendy sformował nowy skład, uprawiający odtąd muzykę opartą na bluesie i rocku. Wśród nowych twarzy na największe uznanie zasługiwali szczególnie dwaj muzycy: Ferenc Demjen i Norbert Latzin, którzy właściwie decydowali o charakterze uprawianej przez zespół muzyki. Organista Latzin zajął się kompozycją, zaś Demjen dostarczał zespołowi wszystkich tekstów. Jednakże płyta, jaką Bergendy zadebiutowało na rynku muzycznym, nie zawierała ani jednej kompozycji własnej. Grupa zdecydowała się bowiem na rzecz szalenie trudną: postanowiła wydać krążek z najpopularniejszymi w tym czasie światowymi przebojami i to w ich wersjach oryginalnych. Longplay zatytułowany Beat Ablak (Beatowe Okno) — Pepita 17432 zawierał 13 najmodniejszych, a przy tym doskonale nagranych piosenek. Już sam dobór repertuaru może dużo powiedzieć o niezwykłych umiejętnościach muzyków spod znaku Bergendy. Od hordrockowych kompozycji „Czarownica" niemieckiej grupy Rattles, przez songi z musicalu „Hair" do piosenek śpiewającego falsetem Tiny Tina. Ferenc Demjen, główny wokalista zespołu, zrobił to znakomicie, a towarzyszący mu koledzy postarali się o w miarę wierną kopię oryginalnych kompozycji. W ten sposób powstała płyta nie mająca sobie równiej w dyskografii węgierskiego rocka. Trafiła ona też do Polski i natychmiast znikła z półek.

Wydany w 1971 roku krążek nie świadczył bynajmniej o braku własnych piosenek. W kilka miesięcy później firma Pepita wydała album Bergendy z kompozycjami spółki autorskiej Latzin — Demjen. Do tego duetu dołączył trzeci kompozytor, trębacz i pianista Sándor Hajdú. Płyta obok melodyjnych piosenek w stylu pop zawierała też udane wersje rockowe. Ogromne powodzenie z jakim spotkała się wśród młodzieży, zawdzięcza głównie specyficznemu brzmieniu, jakiego nie udało się osiągnąć żadnemu innemu zespołowi węgierskiemu. Panujący w owym czasie trend do maksymalnego zmniejszenia składu (w celu uzyskania modnego hendrixowskiego brzmienia) nie był brany pod uwagę przez muzyków Bergendy. O słuszności tej drogi świadczyć może powodzenie tej płyty, nagranej w 7-osobowym składzie, gdzie obok sekcji rytmicznej usłyszeć można soczyste brzmienie blachy, saksofonów, fletu. Doskonałe aranże i ciekawy klimat tej muzyki przyczyniły się w szybkim czasie do uzyskania przez grupę nagrody Złotej Płyty. Powodzenie ugruntowały listy przebojów i plebiscyt Magyar Ifjúság, w którym Bergendy zostało grupą roku 1971 i 1972.

Opromienieni sławą na krajowym rynku, muzycy odwiedzili kilka krajów zachodnich. Szczególnie udane tournée odbył zespół w RFN, Szwecji i Norwegii. Pełen nowych pomysłów twórczych przystąpił latem 1973 roku do nagrania nowego, tym razem podwójnego albumu „Hetfő" (co po polsku oznacza Poniedziałek, lub pisane oddzielnie — siedmiu ludzi). Również ta płyta przyniosła Bergendy cenne trofea: Złotą Płytę i nagrodę Ewa Pepity, przyznawaną corocznie najpopularniejszym wykonawcom. Niedawno ukazała się również w sprzedaży najnowsza produkcja grupy, zatytułowana „Ötödik sebesség" (Piąty bieg) — Pepita 17474. Słuchając tej płyty nabiera się przekonania, że jest to najlepszy krążek wydany do tej pory na Węgrzech. Ogromny wachlarz stylistyczny, znakomita precyzja instrumentalistów oraz niespotykane brzmienie, uzyskane dzięki specjalnej aparaturze elektronowej, stawia Bergendy na pierwszym miejscu wśród naddunajskich wykonawców. Do szczególnie udanych piosenek należą tytułowy „Piąty Bieg" i „Pociąg widmo", obie spółki Latzin — Demjén.

Warto chyba przedstawić animatorów sukcesów grupy. Oto oni: István Bergendy — saksofony altowy i barytonowy, śpiew; Péter Bergendy — flet, saksofon tenorowy, śpiew; Ferenc Demjén — główny wokalista, gitara basowa, kompozycje i teksty; György Oroszlán — gitara, śpiew; Norbert Latzin — organy, syntetyzer, mellotron, kompozycje; Csaba Debreceni — perkusja, instrumenty perkusyjne i Sándor Hajdú — trąbka, fortepian, śpiew, kompozycje.

Patrz zdjęcie na str. 14.

CZY WIELKA MIŁOŚĆ?

Maria Bechczyc-Rudnicka

NADSZEDŁ chyba moment, kiedy z czystym sumieniem można powiedzieć, że mimo przewiekłego braku dyrektora i kierownika artystycznego, na lubelskiej scenie dramatycznej dzieje się nienajgorzej. Zespół Teatru im. J. Osterwy, konsolidując się samorzutnie, potrafił powziąć kilka sensownych decyzji organizacyjnych i repertuarowych. Jedną z nich było zaproszenie znanego reżysera brzeskiego, G. A. Wołkowa, do przygotowania u nas jeszcze przed wakacjami inscenizacji komedii Turgieniewa „Miesiąc na wsi". Wysokogatunkowa sztuka klasyczna miała uświetnić otwarcie sezonu jesienią. Urzeczywistnienie szczęśliwego pomysłu spotkało się z aprobatą publiczności, czego dowodem komplety na widowni. Sama treść sztuki „o miłości" jest atrakcyjna, podoba się też spektakl, stylowy, kulturalny.

Atoli, jak mawiają Francuzi: le mieux est l'ennemi du bien czyli bez metafor po polsku — nie ma dobrego, co by nie mogło być lepsze. Wiara w elementarną prawdę owego porzekadełka niech usprawiedliwi zaprezentowanie na tych łamach refleksji krytycznych dotyczących interpretacji „Miesiąca na wsi" w lubelskim teatrze.

Niekoniecznie mozolna analiza — zwykła lektura „Zapisków myśliwego", powieści „Ojcowie i dzieci", „W przededniu", „Nowizna", pozwala stwierdzić, że Turgieniew, wybitnie uwrażliwiony na niedolę chłopską, bądź innych zabiedzonych ludzi, był gorącym zwolennikiem współczesnych mu rosyjskich postępowych nurtów społecznych. Dał temu wymowny wyraz zwłaszcza we wspomnianych dziełach powieściowych. Sądzę, iż to właśnie łatwe stwierdzenie wywarło wpływ na dzisiejszych komentatorów doszukujących się problematyki socjalnej w „Miesiącu na wsi", komedii typowo psychologicznej. Przytaczałam już gdzie indziej pochopną definicję z programu Teatru im. J. Osterwy, wszelako muszę powtórzyć ten drętwawy cytat, jako konkret potrzebny w toku mego polemicznego rozważania:

„Miesiąc na wsi", niezależnie od faktu niedocenienia go przez ówczesną krytykę, jest jednak dziełem wybitnym. Porusza w nim autor szereg niezwykle istotnych spraw przejawiających się w twórczości najwybitniejszych przedstawicieli literatury rosyjskiej lat czterdziestych. Pojawia się w tym dramacie problem „zbędnego człowieka", rodzącej się inteligencji oraz w niezwykle dramatyczny sposób zarysowany problem moralny: sytuacja wyrastającej ponad przeciętność kobiety wtłoczonej w obowiązujące ramy obyczajowych nakazów i zakazów.

Czyżby? Chcąc obalić te bałamutne ogólniki wystarczy porównać „Miesiąc na wsi" z napisaną trochę wcześniej sztuką Turgieniewa „Na łaskawym chlebie", z tym od początku do końca jaskrawym obrazem wołających o pomstę stosunków międzyludzkich, które wynikają rzeczywiście z godnej potępienia struktury społecznej. Wręcz przeciwnie, „Miesiąc na wsi" wprowadza nas od razu w niemal bukoliczną atmosferę dworu, gdzie panuje dobrotliwy mikroklimat kulturalnego domu, w którym służbę traktuje się grzecznie i nikt się nie wywyższa ani nad wychowankę, ani nad rezydentów, jakim są w gruncie rzeczy dame de compagnie Lizawieta tudzież stary Niemiec-wychowawca, ani nad nauczyciela, studenta na kondycji, pochodzącego z proletariatu. Nie ma więc siły reżyserskiej, by w warunkach stworzonych tutaj przez autora przekazać ze sceny wszystkie problemy spisane w artykuliku programowym, problemy rzeczywiście żywo obchodzące Turgieniewa, ale poruszone w innych jego dziełach.

Zresztą krótka wypowiedź Gieorgija Andriejewicza Wołkowa bynajmniej nie świadczy o takim dążeniu do „wszystkoizmu" (przepraszam za zwietrzały termin!). Znajdujemy jednak i w tym słowie od reżysera pewne ryzykowne zdanie. Pozwolę sobie wyodrębnić spacją niepokojącą mnie część definicji: *„Miesiąc na wsi" — powiada G. A. Wołkow — jest sztuką o losach kobiet. Sztuką o miłości. O małżeństwie bez miłości. O nadejściu miłości spóźnionej. Nieszczęśliwy los Natalii Pietrowny powtórzy zapewne Wieroczka.*

Ależ oczywiście „Miesiąc na wsi" jest sztuką o miłości, kto temu zaprzeczy! Tylko pytanie, czy istotnie o miłości urastającej aż do problemu z podłożem „moralności mieszczańskiej", jak by się rzekło później, poczynając od czasów Bernarda Shawa. Otóż to. Tu właśnie tkwi kardynalne niebezpieczeństwo, bo jakże łatwo może powstać u wykonawczyni głównej roli przekonanie, że ma grać wielką, nieszczęśliwą miłość. Cóż jeszcze trzeba, żeby subtelna komedia zaczęła przemieniać się w przyciężki dramat, w przypadku zaś nieodpowiedniej obsady — w melodramat, zwłaszcza gdy romansowe momenty wypunktuje się muzyką.

Mam wrażenie, iż na skutek wspomnianego bezkrólewia w Teatrze im. Osterwy, primo — popełniono przydzielając postacie rzucające się w oczy błędy, secundo — wszyscy na śmierć zapomnieli, że wystawia się definitywną redakcję wziętej na warsztat sztuki, tę pod tytułem „Miesiąc na wsi", a nie pierwotną wersję pt. „Student".

Owszem, program wspomina o słynnych ingerencjach carskiej cenzury, o presji wywieranej przez sfery konserwatywne, lecz teatr nasz nie wyciągnął z faktu najważniejszego wniosku. Spróbujmy zbliżyć się do sedna sprawy.

W przedmowie do tomu „Sceny i komedie", wydanego w r. 1869 czyli w prawie dwadzieścia lat po pierwszej wersji „Miesiąca na wsi", pisał Turgieniew:

Pozwalam sobie zaznaczyć, że „Miesiąc na wsi" ukazuje się teraz w pierwotnym kształcie. Postawiłem przed sobą skomplikowane zadanie psychologiczne, lecz ówczesna cenzura, zmuszając mnie do wyrzucenia męża i uczynienia z żony wdowy, całkowicie wypaczyła moje zamiary.

Nietrudno zauważyć pewną niejasność tego oświadczenia wielkiego pisarza. Mówi — „w pierwotnym kształcie". Czy aby zupełnie? Czy w tym tylko sensie, że zezwolono na wskrzeszenie męża (sprawa ważna, skoro pisze się sztukę psychologiczną)? A co z szeregiem szczegółów charakteryzujących studenta? Pozostały przecie jedynie w pierwszej wersji, o czym Turgieniew nie wspomina może dlatego, że i cenzura r. 1869 nie rada widziała owe detale. Lub może w samym pisarzu przeważyła koniec końców ochota zajęcia się wyłącznie zagadnieniem psychologicznym, bez nacisku na socjalne uwarunkowania?

Kim bowiem jest Bielajew w ostatecznej wersji? „Student jak student" — powie o nim Rakitin. A ów student sam, zapytany o swoje zainteresowania, nie ma czym się szczególnie pochwalić, przyznaje się nawet naiwnie do zwyczajnego lenistwa. Nie podejmuje też żadnych obrazoburczych dyskusji, choćby z cynicznym szydercą doktorem. Słowem, w znanym nam z wydania 1869 r. „Miesiącu na wsi" Bielajew sprawia wrażenie całkiem przeciętnego młodzieńca.

Tak dobrnęliśmy do zasadniczej mojej tezy: Zubożenie postaci studenta stanowczo rzutuje na „kaliber" pokazanej w sztuce miłości. I sam tytuł — „Miesiąc na wsi", jakby wyznaczał termin jej trwania, nadając jej charakter poniekąd „kanikularny", co oczywiście nie znaczy, że wielki znawca dusz ludzkich napisał farsę à la française. Z rzadką w jego czasach precyzją pokazał mistrz składniki niewczesnego zadurzenia się Natalii Pietrowny. Są to: przesyt „wyrównanej" adoracji nieodstępnego Rakitina, której się jest pewną, wydumana pod wpływem francuskich powieści chęć zakosztowania porywającej „passion", zrodzony z dumy kobiety niepospolitej odruch zazdrości o domniemane powodzenie Wieroczki, rywalki, która posiada urok młodzieńczy, nieodwracalnie już niedościgły dla Natalii Pietrowny.

Ale — dodajmy — głównym źródłem nerwowego załamania się Natalii jest absolutna bezczynność. W tym zamożnym dworze wychowanie dziecka zostało zdane na niańki i nauczycieli, a prowadzenie domu — na służbę. Nie można bezkarnie spacerować całe dnie pod różową parasolką, słuchając duserów rozkochanego przyjaciela rodziny.

Tu dopiero dociekliwy widz miałby sposobność do wyciągania wniosków natury socjologicznej. W tym cieplarnianym otoczeniu jedynym panem miłującym pracę jest mąż Natalii Pietrowny. To ostatecznie Isłajew mógłby się stać „bohaterem pozytywnym" epoki, gdyby działał nie w warunkach skazanych na zagładę przez społeczne przemiany. Jego zapał do budowy, do ulepszenia, wrodzona rzetelność, delikatność, ufność człowieka na wskroś uczciwego — doskonale odtworzył Ludwik Paczyński.

Natomiast Marii Karchowskiej, artystce bardzo cenionej w Lublinie, zaszkodziło nieporozumienie, które staram się zasygnalizować. Karchowska wyolbrzymiła ciężar gatunkowy rozterki Natalii Pietrowny nie usposobionej przecie w zasadzie buntowniczo do stylu swej wygodnej egzystencji. Nie chcę oczywiście powiedzieć, że wolno sobie ważyć lekce jej nagle niefortunne uczucia, jak byle kaprys farsowej damulki. Chodzi o pewne subtelne niuanse chroniące przed dysproporcją. Trzeba pamiętać, że Bielajew (Henryk Sobiechart), postać zniekształcona przez cenzurę, nie wygląda na prawdopodobny obiekt wielkiej namiętności.

Do niewątpliwych błędów obsadowych zaliczyłabym narzucenie ulubieńcowi publiczności, Aleksandrowi Aleksemu, roli kostycznego doktora Szpigielskiego, podczas gdy odtworzyłby wspaniale prostoduszność starszawego konkurenta Wieroczki, Bolszincowa (tego gra bez przekonania Tytus Wilski odzyskany dla Lublina). W roli zaś doktora widziałabym Macieja Polaskiego, który zdołał naszkicować pyszną figurę starego Niemca, acz pozostawiono mu zaledwie parę kwestii na potrzeby preferansa. Analogiczny los spotkał Marię Kaczkowską (Lizawietę), a szkoda skreślonej sceny oświadczyn doktora, przydatnej z wielu względów.

Jadwidze Jarmuł, jako Wieroczce należałoby doradzić bardziej nieświadomą kokieterię w scenach początkowych, a w uczuciowym konflikcie — porywczość mniej „obcesową".

Kazimierz Siedlecki dość udatnie przełamał swe dotychczasowe dyspozycje aktorskie, by wyjść obronną ręką z arcytrudnej roli Rakitina, platonicznego kochanka — dżentelmena, tak prawdziwego za czasów Turgieniewa, a dziś nie urzekającego wobraźni widza. Maria Szczechówna tworząc postać matki Isłajewa jest właściwą aktorką we właściwej roli.

Zawsze spodziewam się po Januszu Warpechowskim celnych projektów, tym razem jednak zaskoczyło mnie jakieś „bajroniczne" rozwichrzenie jego dekoracji, kłócące się z kameralną atmosferą sztuki Turgieniewa.

Niezależnie od moich uwag polemicznych, szczerze się cieszę z sukcesów „Miesiąca na wsi", jakkolwiek interpretowanego nie wedle mego rozumienia komedii. Myślę też, że kierownictwo Teatru im. J. Osterwy powinno poprosić Gieorgija Andriejewicza Wołkowa o wyreżyserowanie u nas jakiejś aktualnej sztuki radzieckiej. Teatr wyszedł już z impasu organizacyjnego i warunki do pracy reżyserskiej są tu obecnie lepsze niż wiosną br.

Iwan Turgieniew — „Miesiąc na wsi". Maria Karchowska (Natalia Pietrowna) i Kazimierz Siedlecki (Rakitin)

Fot. CAF.

Cyprian Czernik

TWORZENIE

Ubieram grube dziewki w suknie,
stroję w złotogłów i szkarłaty —
wplatam we włosy żywe kwiaty,
wkładam do dłoni dźwięczne lutnie

Zapalam w oczach świec płomyki,
proszę do tańca i muzyki —
Te kwadratowe kukły z drewna,
gdy noc bezsenna jest i gniewna.

Irena Halina Knapik

ŻAL XIII

nasze spotkanie
przypadkowe
to milczenie
tego
co chciałabym
powiedzieć

wiemy
o sobie dużo
a prawie się nie znamy

pożegnanie
jak zawsze
najtrudniejsze
słowa się cisną na usta

...ale wiemy o sobie dużo
i dobrze się znamy
by powiedzieć
to
w co każde z nas
nie uwierzy...

NASZA DAMA

Wladimir Solouchin

Po raz czwarty przyjechałem do dużej abchaskiej wsi nad błogosławiony brzeg dobroczynnego Czarnego Morza. Polubiłem spędzać tu koniec września, gdy u nas w Moskwie pod miastem, na polach i w lasach, wilgoć i mgła, na niebie — ciemne obłoki, pod nogami — grząska glinka.

Nie w tym rzecz, że zupełnie nie znoszę owej pory roku. Ile nastrojowości bywa w już gasnącej, beznadziejnie chorej przyrodzie, aż coś zaczyna ćmić w sercu — i słodka, i upragniona ta udręka niby cierpienie miłości; wówczas chłodna szaruga może się wydać milsza od urokliwego, skwarnego lata, które nie sprzyja zadumie i rzekłbym — zostawia jakiś niedosyt.

Ale nadchodzi moment, że tak się uprzykrzy patrzenie na szare niebo i oddychanie północnym, przenikliwym wiatrem, że ma się dość cierpiętnictwa jesieni, czym prędzej trzeba coś robić, na przykład zapłakać i paść na wilgotną pierś ziemi, całować ją w zapamiętaniu, albo lepiej stąd uciec na jakiś czas, zanim gruntów nie zetną lekkie, orzeźwiające przymrozki.

Prócz tego po prostu bierze nagle chętka, by po szarych i czarnych barwach ujrzeć złoto i błękit. Także oślepiająco białą mewę, jak raptem zakołysze się w tym nieprawdopodobnym wprost żywiole złota i błękitu.

Przybywam więc do abchaskiej wsi i znajduję pokój, wynajmuję go wraz ze stołowaniem. W ciągu dwu dni zawieram znajomości z takimi jak i ja gośćmi z Moskwy — bliskimi sąsiadami i z domów obok.

I od rana do wieczora pędzi się na plaży nierozumne, roślinne życie. W Moskwie każdy jest kimś: lekarzem, dyrygentem estradowej orkiestry, administracyjnym dyrektorem filharmonii czy inżynierem rafinerii ropy naftowej, tamci dwaj — to prawnicy. No i są, ma się rozumieć, żony lekarza, dyrygenta, administracyjnego dyrektora i prawnika... Wszystkich tutaj traktuje się tak samo, każdy chodzi w piżamie, barwnym szlafroczku, a nawet tylko w kąpielowych spodenkach.

Całkowicie każdy jest pochłonięty jedną sprawą — opalaniem i od czasu do czasu kąpielą, niekiedy poza tym grą w karty: w kinga, preferansa albo zwykłego durnia. Niektórzy nie zapomnieli zabrać kieszonkowych szachów, są i tacy, co czytają książki. Tych jest raczej mało. Nie dlatego, że brak chęci czy gra w durnia znacznie od lektury ciekawsza. Przy silnym napromieniowaniu w upały nie można za długo czytać, kartka razi w oczy niby słoneczna plama. A jakby rozklejony mózg nie chłonie nic poważnego ani intelektualnego.

Pedzi się tu osobliwy byt i osobliwe są ploteczki. Dwa lata temu, jak sobie przypominam, najczęściej ich tematem była pewna para; właśnie dyrektor prowincjonalnej filharmonii z żoną. Nie można rzec, że jego wygląd budził pełne zastrzeżenie, chociaż i łysinę i policzki miał jak poduszeczki, mógłby też być trochę solidniejszej postury. Lecz za to... ona! Kruczowłosa kobieta o płomiennym czarnym oku, wąskich okrutnych i aż fioletowych ustach. Nozdrza jej ciągle drgały, spojrzenie mówiło niezmiennie: „Znam mężczyzn... to są moralne zera i zdechlaki, neurastenicy i słabeusze."

Poczęły krążyć słuchy że ona bija męża — dyrektora filharmonii. Dawało to pożywkę dla plotek.

Oto spełniły się oczekiwania. Któregoś razu, gdy mąż mocno coś przeskrobał, wróciwszy z knajpki „pod dobrą datą", zmusiła go, by klęknął, spuścił spodnie, po czym obłożyła go kijami. Lecz co dziwniejsze, mąż pedantycznie spełnił jej żądania.

Sporo rozrywki dostarczył nam rybak wujcio Paweł mieszkający po sąsiedzku. Pewnie dlatego, że nie miał dzieci, przygarniał bezdomne psy (było ich tutaj wprost bez liku). Świetnie się czuły w jego domu, po prostu — poza nim świat dla nich nie istniał. Przypuszczać można, że gdyby ktoś na niby tknął wujcia Pawła, na niego się zamierzył, niechybnie zostałby rozszarpany przez zgraną sforę. Do anegdoty przeszło takie zdarzenie: raz rybak swoim zwyczajem brnął do domu na czworakach, w dodatku tyłem do przodu — psy nie poznały go, rzuciły się i zaczęły gryźć swego dobroczyńcę.

— Najwyższy stopień nietrzeźwości — dowcipkowali moskwiczanie — bywa wtedy, gdy własny pies nie poznaje pana!

W tym roku przy pierwszym obiedzie za wspólnym stołem zgadłem, że już jest nowy obiekt żartów, co tu ukrywać — nawet i drwin.

— A gdzież „nasza dama"?

— Coś nie widać „naszej damy".

— Wczoraj znów opalała się przy księżycu.

— He-he! Ale raczej były to chyba „księżycowe kąpiele".

— Ciekawe... jeśli zacznie padać i wtedy też będzie spała na plaży...

— Zapewne! Aż nie zwąchają tego miejscowi podrywacze.

— Ee... to dla niej akurat niegroźne.

Nic nie wiedziałem o prehistorii antypatii, z jaka traktowano nieznajoma mi niewiastę, ani też czemu ciągle z niej żartują. Zresztą pewnie nie było żadnej prehistorii: po prostu nie przypadła do gustu i nie włączono jej do kolektywu, stopniowo słówko po słówku wynikła przepaść. Możliwe też, że ta odtrącona sama nie łakneła towarzystwa: starała się osobno jeść obiady i śniadania, także inaczej niż inni sypiała — nie pod dachem i w pościeli, lecz na rozkładanym łóżeczku na plaży. Stawiała je niemal na linii przypływu, nad pluskiem, pulsowaniem morskiej wody, które wprawiało w drganie mglistą poświatę i wraz z nią płynęły mocne, balsamiczne aromaty.

Nie musiałem długo czekać, by ujrzeć ów obiekt żartów. Wróciłem pod wieczór znad brzegu z połowem, byłem zajęty patroszeniem i czyszczeniem kolorowych morskich ryb, gdy stanęła koło mnie kobieta w wieku sześćdziesięciu lub może sześćdziesięciu pięciu lat — chuda, siwa i smagła. Nie śpiesząc, z uwagą, nieco też bezceremonialnie, jakby mnie tu wcale nie było, chwytała w dwa palce każdą rybę i oglądała ją z obydwu stron. Najbardziej zachwyciła ją belona, jaskrawo zielona, jak atrament do wiecznych piór, z prążkami jasnoczerwonej barwy po bokach. Gdy zaś brała skarpienę, uprzedziłem: „Ostrożnie! Jeśli ukłuje panią ta ryba, będzie bardzo bolało. Jej kolce wydzielają jad!"

Ale nie zważała na tę przestrogę. Obejrzała jeszcze z dwu stron morskiego karasia, po czym przybierając prostą postawę dość głośno coś bąknęła i sobie poszła.

Dla nas, wczasowiczów na południowym brzegu, największym utrapieniem są przewlekłe deszcze.

Jesteśmy stłoczenie w letnich, nieurządzonych i przewiewnych kajutach; niczego więcej nie trzeba przy dobrej pogodzie: gdy dzień mija na plaży, pokój służy do spania. Aż tu raptem wypada tkwić w czyjejś, w takiej obcej nieprzytulności. Prócz tego za dużo ma się wolnego czasu, z którym nie wiadomo co począć. Wtedy to nastaje pora wyłącznie na karty i anegdotki. Z dziesięć osób zasiada w jednym pokoju i cały dzień z niego nie wychodzą. Rżną w karty — w dwie lub trzy talie. Nic tylko słychać: „Trefle...piki...dwa piki...pas. Wist...lub...kontra. Dajmy damulce królika! A my waszego królika... po wąsach!"

Gracz jakiś wtrąci:

— Do ormiańskiego radia nadesłano list z pytaniem: „Co poradzić, gdy ktoś koniecznie ma ochotę pracować?" Nadeszła odpowiedź: „Jak poleży sobie ze dwie godziny, to samo mu przejdzie."

— Ha-ha-ha!

W deszczowe dnie bardziej niż przedtem widoczne się stało wyobcowanie biednej wczasowiczki. Wynajmowała maluteńką klitkę, zwykłą przybudówkę z dykty, i teraz siedziała w niej sama całe dnie. Chwilami próbowałem zgadnąć, co tam robi — czyta lub, być może, ginie w smutku i samotności. Mogłem też sobie wyobrazić, sprzykrzyły się jej anegdotki i te „piki trefle", które docierają do niej przez cieniutką ściankę.

Trzeciego deszczowego dnia gospodyni domu przyszła nam oznajmić:

— Chyba nasza dama do reszty zbzikowała. Wzięła rozkładane łóżeczko, ceratę, parasol i poszła z tym na plażę.

— Co, przestało padać?

— Gdzie tam! Powiadam wam, że zbzikowała! I ciągle jej coś nie dogadza... albo to, albo tamto.

— A co się jej nie podoba?

— W kuchni dla niej stale za brudno albo ścierka do naczyń nie czysta.

Zakłopotani, zamilkliśmy na chwilę, bo gospodyni ścierkę akurat miała zatkniętą za pasem i była ona rzeczywiście...

— To... błękitna krew!

Jednak „nasza dama" nie wróciła na noc do swej klitki. Choć deszcz bez przerwy drobno stukał, a chwilami mocno dudnił po akustycznym, krytym papą dachu. Nie było jej widać i cały następny dzień.

Zapadał zmierzch. Pomyślałem, że trzeba by przejść na plażę, spojrzeć, co porabia „nasza dama."

Deszcz padał z wysoko wiszących nad morzem nieruchomych obłoków. Prosto płynęły ciepłe strużki i jakby dużo ich nie było, znikły bez śladu między drobnym żwirem na brzegu.

Żwir chłodził stopy, przeciwnie niż w czasie słonecznej pogody, kiedy ani siąść, ani położyć się na nim nie można, kamyczki są rozprażone. Teraz w porównaniu z nimi wydawała się gorąca woda w morzu.

Na plaży były pustki. Jacyś dwaj entuzjaści kąpieli parskali w wodzie i wznosili niepojęte okrzyki, a pod sosną o gęstej koronie stało łóżeczko „naszej damy".

Zbliżyłem się do niego. Odpoczywała pod kocem, z wierzchu przykrytym stołową ceratą w błękitne kratki. Nie tylko twarz, lecz i połowę postaci osłaniał przed deszczem rozpostarty nad wezgłowiem wielki, czarny parasol.

Spokojnie leżała i czytała książkę

A, do diaska! To pewnie nie jest wcale takie złe leżeć pod sosną blisko morza, słyszeć, jak deszcz szemrze po żwirze i dużych zielonych igłach, po ciepłej morskiej wodzie. W dodatku mieć interesującą książkę...

Stanąłem koło łóżeczka, by zobaczyć, gdy będzie można, jaką ma lekturkę. Niekiedy książka, jej tytuł, nawet linijka tekstu sporo mogą powiedzieć o człowieku. Powstaje jakby wąska szczelina i przez nią widać, co się znajduje za wyniosłym i niedostępnym parkanem cudzego życia. Od razu wiadomo, czy jest za nim wysypisko śmieci, pusty plac brukowany tłuczniem, czy wznosi się dom lub mogą tam być ogród kwietny i fontanny.

Nie zdążyłem zajrzeć do książki, została zamknięta, ale (czego najmniej oczekiwałem!) milczek ów przemówił do mnie:

— Witam, przyjacielu... to świetnie, że pan tu przyszedł, mam sprawę i liczę na pana pomoc. Nikt by nie uwierzył, jak się męczę już czwarty dzień. I cóż? Sytuacja moja jest prawie beznadziejna.

— Pewnie przeziębiła się pani i są potrzebne leki. Zaraz po nie pójdę, apteka niedaleko.

— Skądże, do apteki sama bym poszła. Moja prośba nie będzie aż taka prosta... — teraz zaczęła szeptać — ja... zapomniałam słowo lecz proszę na mnie tak nie patrzeć. Deklamowałam na głos wiersz Puszkina i wtem... pustka w głowie. Uleciało mi raptem jedno słowo. A czwarty już dzień przez nie się dręczę. Jeśli go sobie nie przypomnę, zdaje się, grozi mi szaleństwo. Może spróbujmy razem, tak się to zaczyna:

Z wodą upadła jej urna, tutaj na skałach ją
dziewczę zbiło.
Smutne dlatego dziewczątko...

Zrobiła ręką gest zniecierpliwienia, nerwowo poruszała palcami:

— Wiem, że teraz podnosi ona jakąś skorupkę... Dobierałam różne możliwe epitety, całe ich dziesiątki. Który wybrać?

— Skorupki najczęściej są zbędne — wypaliłem niby na egzaminie — jakie mogą być poza tym?

— Mój boże! — w chwili odprężenia opadła na poduszkę i całkiem osłabła z ulgą opuściła ręce z obu stron łóżeczka. — Miły, drogi panie, nie wie pan nawet, jaki ze mnie zdjął ciężar. Nic mi teraz więcej nie trzeba do szczęścia. O, jak to pięknie:

Z wodą upadła jej urna, tutaj na skałach ją
dziewczę zbiło.
Smutne dlatego dziewczątko, zbędną podnosi
skorupkę...

Nie muszę chyba dodać, że na „zbędną skorupkę" położyła nacisk, wymówiła to z osobliwym zadowoleniem, z jakąś satysfakcją.

Odszedłem dalej brzegiem i siadłem na kamieniu.

Już zapadł zmrok. Z ciemności pełne jodu tchnienia morza, słone i ciepłe, czułem raz po raz na twarzy. Stale łagodnie i kojąco szemrała woda wśród kamieni.

Z wodą upadła jej urna, tutaj na skałach ją
dziewczę zbiło.
Smutne dlatego dziewczątko, zbędną podnosi
skorupkę.
Lecz co to — ta...ta... ta...wiecznie tak płynie
ta...ta
I zasmucona ta...ta...ta... wiecznej pilnuje...
strugi.

Wiedziałem, że ja z kolei nie zaznam spokoju i dopóty nie wrócę do domu, póki nie znajdę słów, które wypadły mi z pamięci, nie wstawię ich na właściwe miejsce. Jakiś czas skandowałem „ta-ta-ta", lecz jakby na złość słowa się nie pojawiły.

— Pragnę usłyszeć także trzecią i czwartą strofkę! — w końcu krzyknąłem w ciemność całkiem przeświadczony, że prócz niej nie ma tu nikogo.

Było cicho. Dopiero po chwili zadźwięczało z ciemności:

Lecz co to — wody przybywa! Wiecznie tak
płynie z rozbitej urny.
I zasmucone dziewczątko wiecznej pilnuje tu
strugi.

Tak, to pięknie — móc sobie przypomnieć konieczne słowo — i w ogóle to piękny czterowiersz! Plastyczna wizja, muzyka! Ile w nim umiaru! I także jest w tym rytmiczny szmer przyboju wielkiego morza.

Z wodą upadła jej urna, tutaj na skałach ją
dziewczę zbiło.
Smutne dlatego dziewczątko, zbędną podnosi
skorupkę.
Lecz co to — wody przybywa! Wiecznie tak pły-
nie z rozbitej urny,
I zasmucone dziewczątko wiecznej pilnuje tu
strugi.

...Rozbierałem się i kładłem nie zapalając światła w pokoju. Wiatr szumiał w drzewach. Za oknem i po dachu oraz mocniej zacinał, szeleścił deszcz. Trochę leżałem z otwartymi oczami, ciągle pod wrażeniem, że tak niespodziewanie nawiedziło mnie czyste i jasne piękno. Później zacząłem zasypiać. Ni to we śnie, ni to na jawie przez dwie przegródki dobiegało do mnie:

— No, dwa trefle-Pas!-Wykładamy karty!

— Do ormiańskiego radia wysłano list z pytaniem: „Czy mężowi wolno czasem zdradzić żonę?"

— He-he!

— A „nasza dama" znów nie wraca na noc.

Były to ostatnie słowa, jakie usłyszałem.

Przełożyła:
Alicja Żukowska

Kamena str. 11

Dokończenie ze str. 1

pracowników obsługi, żeby zapewnić optymalne warunki leczenia.

Wraz z otwarciem wystawy jubileuszowej zorganizowano sesję naukową, sumującą dotychczasowe rezultaty rehabilitacji uzdrowiskowej w płaszczyźnie teoretycznej i praktycznej oraz mówiącą właśnie o perspektywach. Głos zabierali fachowcy, lekarze, z Wacławem Szczepińskim na czele, nałęczowskim Judymem, długoletnim lekarzem naczelnym uzdrowiska. Nie mnie streszczać referaty, a zresztą po co, skoro sprawa jest w dobrych rękach!

Fakt w każdym razie, że podczas tej smutnej jesieni, zapowiadającej surową zimę (jak to odczuwają starzy ludzie w tzw. kościach), Nałęczów nie wymarł całkowicie. W dniach 10—13 października działy się tu bowiem imprezy „Nałęczowskiej Jesieni", szczególnie fetowane w związku z jubileuszem uzdrowiska (w ramach tego właśnie sesja i wystawa). A że w roku tym przypada 50-lecie śmierci Żeromskiego, pisarza z Nałęczowem związanego i osobiście, i poprzez twórczość, komuś przyszedł do głowy pomysł przedni, by w „Nałęczowską Jesień" włączyć przedpremierową projekcję filmu polskiego „Doktor Judym". Nie obyło się wprawdzie bez kłopotów, łącznie z transportem kopii filmowej z Warszawy w ostatniej dosłownie chwili, ale — powtarzam — pomysł był przedni, a zrealizowany został 11 października w nałęczowskim kinie „Cisy" (właśnie Cisy!).

Dodatkowym argumentem (a może nawet czołowym) dla umiejscowienia tej prapremiery był fakt, że Cisy z „Ludzi bezdomnych" to — jak wiadomo — dosyć wierny opis Nałęczowa z lat, kiedy Żeromski tu przebywał, zaś niemal połowa filmu „Doktor Judym" toczy się właśnie w Cisach, i autorzy filmu plenery cisowskie w maju i czerwcu kręcili na terenie parku uzdrowiskowego w Nałęczowie, z czego zresztą gawiedź miejscowa miała wielką uciechę i naukę, widząc na przykład, jak to panią Nehrebecką, odzianą w ciężki atłas czy brokat, koń poniósł, i jaka to trudna oraz niebezpieczna robota w filmie polskim i w ogóle.

O samym filmie trzeba szerzej, każda bowiem ekranizacja polskiej tzw. wielkiej klasyki literackiej to chcąc nie chcąc — wydarzenie, i nie widziałem krytyka, który z czystym sumieniem zjechałby taki film od góry do dołu, choćby nawet nie wszystko poddawało się sensownej ekranizacji, wielką klasyką będąc.

Ostatnie lata obfitują w filmy oparte na dziełach naszych uznanych pisarzy. Z grubsza biorąc, widziałbym dwie tendencje powodujące reżyserami w realizacji takich przedsięwzięć. Pierwsza — komentatorska, kiedy autorzy filmu świadomie starają się odczytywać wizję pisarską poprzez doświadczenia intelektualne, moralne i artystyczne naszej epoki, tworząc w efekcie jakby samodzielną filmową glosę współczesną do dzieła literackiego. Druga tendencja — archeologiczna, kiedy filmowcy dostępnymi im środkami próbują zrekonstruować wizję pisarską, wraz z przylegającymi do niej mitologiami i sfinksami, zrodzonymi przez rzeczywistość, w której dzieło literackie powstało. Słowem — kiedy filmowcy pod niebem naszej epoki usiłują umieścić tamten świat.

Oczywiście, temu rozróżnieniu nie przeczy fakt, iż każde współczesne ekranizowanie historycznego dzieła literackiego z konieczności „zarażone" jest dzisiejszym widzeniem świata. Idzie jednakże o kierunek reżyserskich poszukiwań. Ponadto o przynależności określonej ekranizacji do którejś z wymienionych tendencji nie zawsze musi decydować wierność bądź niewierność wobec fabuły utworu filmowanego, o czym przekonuje właśnie „Doktor Judym" w reżyserii Włodzimierza Haupego.

Z „Ludzi bezdomnych" film wydobywa jedynie wątek Judyma, i jest to bardziej film „na motywach" niż faktyczna ekranizacja powieści w całym jej przebiegu fabularnym. Każdy kto zna dzieło Żeromskiego (a któż go nie zna!), spostrzeże to natychmiast. Mimo tego „Doktor Judym" niemal w całości mieści się w obrębie tendencji archeologicznej, czego autorom nie zamierzam wytykać, a stwierdzam tylko. Idzie też o to, że przy takim zamyśle (nie ważne — świadomym czy nieuświadomionym), trzeba ponosić określone konsekwencje i rezultaty artystyczne.

Pieczołowitość dla historii ujawnia się już w, tylko pozornie nieważnej dla tego filmu, warstwie rekwizytu, detalu obyczajowego, słowem — w całej tej realności, z jakiej zbudowany jest film. Od najdrobniejszego kieliszka czy wyżymaczki aż po unikalną XIX-wieczną parową maszynę wyciągową w kopalni. Reżyser Haupe powiada o swoim dziele: „Schyłek XIX wieku jest epoką malowniczą i interesującą dla operowania niezwykle wyrazistymi kontrastami — od luksusu i zbytku sekwencji paryskich, przez obrazy życia klas uprzywilejowanych — dworki, pałace, mieszkania mieszczańskie, po nędzarskie domy, osady górnicze, hałdy i popieliska".

Odtworzenie tego świata, współczesnego przecież Żeromskiemu, to rzeczywiście bardzo istotny walor filmu. Te bogate plenery, te soczyste wnętrza, te stroje dam (film przecie kolorowy!), całe to absolutnie pierwszorzędne „retro" stanowi o prawdziwej urodzie filmu, i nikt mi nie wmówi, że pokazanie owej „retro-urody" miało być jedynie uboczną wartością filmu. Wręcz przeciwnie — jest jego wartością pierwszoplanową, czasem może aż nazbyt pierwszoplanową, burzącą motywacje realistyczne dzieła, bo w takiej konwencji ono się rozgrywa (skąd na przykład Joasię, niezamożną w końcu guwernantkę, stać na wykwintne suknie, zmieniane co chwila?!). Lecz dajmy pokój pretensjom, gdzie chwalić trzeba.

O sprawie doktora Judyma widz nie dowiaduje się wiele więcej, niż zdołała udowodnić Żeromskiemu wyjątkowo bogata recepcja historyków literatury, przykrojona w dodatku na użytek szkolny. Reżyser Haupe wyznał na konferencji prasowej, iż uzgadniał z Ministerstwem Oświaty i Wychowania, od ilu lat dozwolony ma być film, i utargował w końcu, że od lat 15. Włodzimierz Haupe powiada: „Judym — moja wizja tej postaci zapamiętanej z lektur szkolnych". Jest to zresztą w ogóle wizja po prostu szkolna, raczej niezmienna od długich lat. Judym jako człowiek, który w środowisku rutyniarzy i ludzi małostkowych podejmuje samotną walkę o lepszą sprawę w imię słusznych ideałów, i choć udaje mu się z czasem osiągnąć jakiś fragmentaryczny rezultat, to rujnuje swe życie osobiste, bo inaczej nie można.

Trzeba przyznać, że reżyser i Jan Englert, wykonawca głównej roli, robią co mogą, iżby nieco wzbogacić taką wizję bohatera. Żywy, energiczny, młodzieńczy i przystojny Englert-Judym jest postacią, która w czasie filmu dopiero staje się: od nękanego rozterkami sercowymi bawidamka, niecałkiem zdecydowanego, co ma czynić po ukończeniu studiów lekarskich, poprzez rozczarowanego nieudacznika (ofiarę własnego nonkonformizmu o chłopięcym zacięciu), aż po zdecydowanego robić, co tylko możliwe, mężczyznę, rezygnującego z osobistej szczęśliwości (a trzeba przyznać, iż trudno rezygnować z osobistej szczęśliwości, kiedy chodzi o blondynkę z ciemnymi oczami, choćby nawet trochę bezwolną i bezbarwną pod względem osobowości!).

Można powiedzieć, iż film, szczególnie dla młodzieży, powinien stwarzać poprzez swojego bohatera rodzaj dydaktycznej mitologii ku zbożnemu naśladownictwu (reżyser Haupe: „Ileż współczesnych cech łączy tego człowieka i młodych naszej epoki"). Przypuszczam jednak, że „młody naszej epoki" (sam jestem już „średni") mógłby się zapytać: jeśli mam szlachetne cele i jestem ich pewien, to czy dla skuteczności mego działania nie warto czasem pójść na mniej istotne, choć spektakularne ustępstwa? Jeśli nawet kobieta ze swoim dążeniem do mebli i firanek może człowieka nabawić konformizmu, to czy tak się sprawa ma akurat z blondynką o ciemnych oczach (Anna Nehrebecka w roli Joasi), która sama miewa jakoweś społecznikowskie zacięcia? Po co być rozdartą sosną, kiedy można być zwartym dębczakiem z brzozą u boku?

Z tym wszystkim byłby to więc film całkiem poczciwy, a ja mógłbym nadal udawać naiwnego, gdyby nie zakończenie, całkowicie dopisane przez autorów „Doktora Judyma", a będące śladem komentatorskiego myślenia o dziele Żeromskiego. Otóż film nie kończy się „rozdartą sosną". Judym bowiem podejmuje pałeczkę po zmarłym przyjacielu i — jak możemy się domyślać — z pakietem jakiejś (może rewolucyjnej?) „bibuły" wkracza w bramę fabryki. Gdybym chciał czynić daleko idące interpretacje, musiałbym pomyśleć o wątku ówczesnych inteligentów z awansu (ciężko wywalczonego — ale po co w takm razie ta pomocna ciotka podejrzanej konduity?), którzy stali się rzecznikami i przywódcami ruchów społecznych. Wyjść z nizin społecznych, po to, żeby do nich powrócić wzbogaconym o imperatyw walki. Byłoby to też historyczne spojrzenie na postać Judyma, lecz już nie archeologiczne.

Trochę w oderwaniu od filmu można by spytać, czy dziś Nałęczów potrzebuje Judyma? Jako filmu z pewnością, bo tego rodzaju prapremiery podnoszą — poprzez fakt ich zlokalizowania — samopoczucie tubylców, niwelują kompleks prowincji. Natomiast sam Nałęczów powinien sobie winszować, iżby każdy tam racjonalnie czynił, co czynić powinien, i by wszystkie mądre umowy zostały dotrzymane.

Maciej Podgórski

Z Judymem w Nałęczowie

Kamena str. 12

MÓJ ŻEROMSKI

Stanisław Zieliński

JEDNYM z komunałów, ale naładowanym rzeczywistą treścią jest stwierdzenie, że żyjemy na przełomie. Na przełomie obyczajów, norm intelektualnych, stylów życia. Właściwie można to powiedzieć o każdej epoce, inaczej czas dokonałby tego cudu, że stanąłby w miejscu, ale nasze „dzisiaj" z pewnością jest pod tym względem znamienne. To przecież my znajdujemy się na starcie do tych czasów, kiedy cywilizacja zacznie się obracać przeciw człowiekowi, kiedy bardziej niż bomba atomowa — jak zapewnia Alvin Toffler — zagrozi człowiekowi dobrobyt. Dobrobyt — piąty jeździec Apokalipsy.

Kiedy więc straszą nas publikacje futurologiczne, czy nie naturalnym odruchem jest zwrócenie świadomości w stronę czasu minionego? „W poszukiwaniu straconego czasu" ludzkości? Z pewnością dają ku temu sposobność obchodzone w kulturze rocznice, ostatnio 50 rocznica śmierci Stefana Żeromskiego.

Stefana Żeromskiego. Czy dla dzisiejszego pokolenia podekscytowanego Robe-Grilletem, Nathalie Sarraut, spóźnioną, ale wciąż jeszcze istniejącą recydywą Joyce'a, zachowuje znaczenie ta proza właściwie zamknięta w obrębie kanonów dziewiętnastowiecznych? Sam termin „Żeromski" jeśli nie wywołuje dziś wzruszenia ramion, czy nie natyka się na puste oczy czytelników rówieśnych Polsce Ludowej? Trzeba powiedzieć wyraźnie, że w znacznym stopniu tak, za co też nikogo nie winić, ale niech to należy do socjologa literatury. Ja — stary czytelnik mam prawo do pyknięcia fajeczką i osnucia dymkiem wspomnień tamtych lektur, tamtych zauroczeń.

Przyznam się, że nie przyjmuję wszystkiego bezkrytycznie. Proza autora „Syzyfowych prac" obfituje w szereg fragmentów niekiedy mało przekonujących, jakby w pośpiechu naszkicowanych, nawet zbędnych. Wiem, że pretensje o to mogę mieć z pozycji czasu dzisiejszego, ale również kiedyś niejedno mi wyglądało na przeliryzowane. Wszelako nie da się zaprzeczyć, że nawet w tych „niedorysowaniach" i „zbędnościach" przejawia się Żeromski przejmujący. Żeromski zawsze nastawiony na czułe przyjmowanie wszelkich przejawów „urody życia". Tak, urody również w tym pozytywnym znaczeniu, niezależnie od tego, że sformułowanie to tworzące tytuł znanej powieści zostało użyte w znaczeniu melancholijnie ironicznym. Na przykład nie mogę zapomnieć pewnego małego rozdziału z „Ludzi bezdomnych" zatytułowanego „Przyjdź". Z powodzeniem dałoby się go usunąć z całości dzieła bez najmniejszej szkody dla tkanki fabularnej. Ale jest tam tak urzekający opis krzewów agrestowych rozchwianych powiewem wiatru, tak trafny obraz ogrodu rozfalowanego przejściem deszczu, że nie mogę na to zjawisko patrzeć inaczej, niż przez okulary Żeromskiego.

Więc anachronizm. Owszem, tylko proszę się wyzwolić od sentymentu na widok np. starego zegara u zegarmistrza, jeżeli ten swój warsztat uznaje za stosowne oznaczyć emblematem z poprzedniej epoki. Proszę tej sztuki dokonać, jeśli się ten zegar widziało w jego czasie młodzieńczym, a nie jako narzędzie do mierzenia czasu w ogóle. Zresztą anachronizm stał się nieoczekiwanie modny. Tylko modny w sposób niepełny. Wydaje mi się, że nawet nawroty ku przeszłości były dawniej bardziej serio. Czy dzisiejsze retro nie ma odrobiny ironii, a w najlepszym razie przymrużenia oka?

Kiedy szukając na bibliotecznej półce zbliżam się do litery „Ż", nie doświadczam nadmiernego bicia serca z racji napotkania tam autora „Wiernej rzeki". Literatura trzydziestolecia ruszyła szerokim frontem, przykryła wiele wartości już dziś zwietrzałych. Żeromski nie jest moim pisarzem „oficjalnym". Jest moim pisarzem „prywatnym". Od tych agrestów, strzelań z pistoletu do karty zawieszonej na wahadle zegara, lamp podkręcanych i przyciemnianych jako sygnał dawany Czarusiowi przez kochankę, której imienia już nie pamiętam.

Ale chyba nie inaczej zapisuje się z czasem każdy pisarz w świadomości swojego czytelnika. Conrad to również nie zawsze epos wierności, odwagi, poświęcenia. To w wielu momentach dość sobie nudnawa relacja z przygód na morzach malajskich. Jakże często Nałkowska bierze do ręki instrument „małego realizmu". I nie w tym rzecz, że pisarstwo nie na każdej stronicy jest nastrojone na ton najwyższy. W tym, że w odbiorze literatury grają role konwencje czytelnicze, które się zmieniają na równi z konwencjami pisarskimi. W tym sensie odbiorca jest współtwórcą dzieła.

Więc nawet egzaltowanego Żeromskiego brakowałoby mi, gdyby nie istniał. Mówi się, że zapisał się we wrażliwości mojego pokolenia. Tak, ale nie samo wychowanie w sensie kulturowego nawyku jest tego powodem. Bez Żeromskiego nie byłoby ciągłości literatury polskiej. Na Żeromskiego było zapotrzebowanie.

Dowiaduję się o śmierci profesora Jana Zygmunta Jakubowskiego, który był gorącym popularyzatorem pisarza. Chyba to jeden z ostatnich, którzy do Żeromskiego podchodzili przede wszystkim z pamięcią pierwszych czytelniczych fascynacji, a dopiero później z analitycznym narzędziem krytyka i historyka. Ten pisarz takich czytelników wymaga. I takich jest coraz mniej. Zmieniony stosunek do literackiej tradycji to też jeden z mierników przyśpieszenia cywilizacyjnego, które nam przed oczy wystawia Komitet Rzymski.

CZECHOSŁOWACKIE CHOPINIANA

Zdzisław Czapliński

JEST druga połowa września 1975 roku. Znajduję się w gabinecie przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej w Mariańskich Łaźniach znanego czeskiego kurortu, inż. Jana Přihody. Rozpoczyna on ze mną rozmowę od prezentacji odznaczeń, jakie miasto (i on osobiście) otrzymało od władz PRL za konsekwentne pogłębianie czechosłowacko-polskich stosunków kulturalnych. Najpierw więc była zbiorowa odznaka 1000-lecia Państwa Polskiego, przyznana MRN i inż. J. Přihodzie przez OK FJN pod koniec lat 1960-tych. Kolejno — medal dla MRN i również dla inż. J. Přihody. „Zasłużony dla kultury polskiej", przyznany w 1974 roku przez Ministra Kultury i Sztuki PRL. I wreszcie w tym samym roku MRN i mój rozmówca zostali wyróżnieni przez Radę Państwa Medalem 30-lecia PRL. Skąd tyle wyróżnień? Telegraficznie można by powiedzieć, że wszystkiemu winien... Fryderyk Chopin.

W samym sercu Mariańskich Łaźni przy głównej alei Związków Zawodowych pod numerem 28 w dostojnym towarzystwie księgarni i sklepu muzycznego z płytami, nutami itp. znajduje się tablica pamiątkowa z popiersiem F. Chopina i napisem: *W tym domu żył w 1836 roku Fryderyk Chopin, twórca polskiej muzyki narodowej.*

Tuż naprzeciw tego domu, w odległości około 100 metrów, w pieczołowicie pielęgnowanym parku stoi okazały pomnik z napisem: *1810—1849. Fryderyk Chopin. Z okazji 150 rocznicy urodzin genialnego kompozytora polskiego na pamiątkę pobytu w naszym mieście w 1836 roku.*

Fryderyk Chopin przebywał w Mariańskich Łaźniach kilkakrotnie. Ze zgromadzonych w Muzeum jego imienia dokumentów wynika, iż bawił tu w latach 1829—30, 1835 i 1836. Przyjeżdżał nie tylko w celach leczniczych, ale także by spotkać się ze swoją rodziną oraz Marią Wodzińską.

10 czerwca 1959 roku z inicjatywy czechosłowackich wielbicieli mazurków i polonezów Chopina przy Ośrodku Społeczno-Kulturalnym w Mariańskich Łaźniach, do dzisiaj kierowanym przez dyr. Helenę Boudovą, zawiązało się Towarzystwo im. Fryderyka Chopina. Stało się to tuż po podjęciu uchwały przez Światową Radę Pokoju i UNESCO o uroczystym uczczeniu 150 rocznicy urodzin i 100 rocznicy śmierci genialnego pianisty.

Przewodniczącym Towarzystwa jest znakomity czeski pianista, laureat nagrody państwowej im. Klementa Gottvalda, zasłużony artysta CSRS, profesor praskiej Akademii Muzycznej — Franciszek Rauch. Jego zastępcą, czyli oficjalnie wiceprzewodniczącym i sekretarzem Towarzystwa — znany tłumacz dzieł polskiej literatury na język czeski, członek korespondent warszawskiego Towarzystwa im. F. Chopina — Jaroslaw Simodenis. Natomiast organizacyjną jego podporą wspomniani już: inż. Jan Přihoda, dyr. Helena Boudova oraz dyrektor Średniej Szkoły Muzycznej w Mariańskich Łaźniach — Emil Wojk.

Jakie są założenia programowe oraz dorobek Towarzysttwa? Założenia programowe określa statut, a jeszcze bardziej praktyczna, niezwykle aktywna działalność Towarzystwa.

Celem Towarzystwa — czytamy w statucie — jest popularyzacja muzyki Fryderyka Chopina w Czechosłowacji oraz pogłębienie stosunków kulturalnych między Czechosłowacką Republiką Socjalistyczną i Polską Rzeczpospolitą Ludową. Działalność Towarzystwa przebiega na wielu płaszczyznach. To właśnie ono było fundatorem tego pomnika. Ono jest organizatorem i patronem jedynego w Europie poza Polską Muzeum Chopina, które gromadzi wszystkie dokumenty, pamiątki i współczesne prace związane z imieniem twórcy.

Towarzystwo objęło patronat — samo będąc wydawcą — nad wszystkimi dziełami literackimi, naukowymi i muzycznymi, publikowanymi w Czechosłowacji. Wydało m. in. zbiór wierszy Kamila Cypriana Norwida pt. „Fortepian Chopina", książkę Kamila Bednarza pt. „Chopin w Mariańskich Łaźniach" z litografiami Jarmiły Jiřincovej, unikalne wydawnictwo (200 numerowanych egzemplarzy) pt. „Wspomnienia o Chopinie", opublikowane po raz pierwszy w 1862 roku w kalendarzu „Noworocznik ilustrowany dla Polek na rok 1862". Tłumaczenie i słowo wstępne do tej edytorskiej perełki wyszły spod pióra Jarosława Simodenisa, natomiast znakomite litografie są autorstwa Danieli Hawlíčkowej. W tym roku w tłumaczeniu również J. Simodenisa wydana została ilustrowana litografiami Cirila Boudy (edytorsko także wypieszczona) książeczka z fragmentami monografii F. Chopina pióra Jarosława Iwaszkiewicza. Towarzystwo jest także patronem periodyku pt. „Bohemika et Slovaca", w którym publikuje się liczne prace o Chopinie. Są to tylko niektóre i nieliczne przykłady edytorskiej działalności Chopinowskiego Towarzystwa w CSRS z siedzibą w Mariańskich Łaźniach.

Przede wszystkim jednak Towarzystwo jest organizatorem odbywających się każdego roku, począwszy od 1960, międzynarodowych Festiwali Chopinowskich w Mariańskich Łaźniach, którym zawsze towarzyszy doskonała oprawa oraz znakomita organizacja. Festiwale, które zyskały sobie wielkie uznanie i pozycję w miedzynarodowym świecie muzycznym, odbywają się w sierpniu na pamiątkę ostatniego tu pobytu mistrza. Każdego roku biorą w nim udział najwybitniejsi artyści z całego świata. Niektórzy z nich — jak to szczególnie podkreślają gospodarze miasta — występowali wcześniej w Mariańskich Łaźniach na chopinowskich imprezach niż w słynnej muzycznej „Praskiej Wiośnie". W tym roku np. gwiazdą Festiwalu był znakomity pianista francuski, laureat międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie — Bernard Ringeisen. Festiwalowi towarzyszą zawsze rzetelnie przygotowane liczne imprezy towarzyszące: literackie, poetyckie, koncerty starej muzyki czeskiej w pobliskich zamkach, okolicznościowe wydawnictwa, medale pamiątkowe itp. Przypomnijmy, że w tym roku Mariańskie Łaźnie były gospodarzem Festiwalu już po raz szesnasty!

Integralną częścią Festiwalu Chopinowskiego w czeskim kurorcie jest organizowany po raz trzynasty międzynarodowy konkurs chopinowski młodych pianistów z Czechosłowacji przede wszystkim, ale także z zagranicy, którego głównym celem jest przygotowanie kandydatów do udziału w warszawskim Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim. Tutejszy festiwal chopinowski jest dla młodych pianistów doskonałą okazją do konfrontacji swoich umiejetności z warsztatem twórczym wybitnych pianistów świata.

Dotychczas brało w nich udział ponad 260 młodych pianistów. To właśnie zwycięzcy tegorocznego konkursu w Mariańskich Łaźniach reprezentowali Czechosłowację na tegorocznym konkursie chopinowskim w Warszawie. Byli to: Petr Slavík i Vera Steiskalova, słuchacze praskiej Akademii Muzycznej ze szkoły pianistycznej prof. Franciszka Raucha oraz Tomaš Víšek i Norbert Heller, studenci praskiego konserwatorium. Warto w tym miejscu przypomnieć, że Miejska Rada Narodowa w Mariańskich Łaźniach ufundowała dla najmłodszego i najlepszego młodego pianisty, uczestnika warszawskiego konkursu chopinowskiego, przepiękny kryształowy puchar (wartości — 6 000 koron) wykonany w znanej na całym świecie firmie „Moser" w Karlowych Warach. Puchar został wręczony przez delegacje władz i Towarzystwa Fryderyka Chopina, która była honorowym gościem warszawskiej imprezy pianistycznej.

Odpowiedzi redakcji

G.D. Poznań. Nie mogłem w sobie wywarzyć przekonania, że są to rzeczywiście utwory zawierające „kontynuację rodzimej awangardy lat 30-tych". Raczej widzę w tym dowolne kojarzenie słów pod kątem młodzieńczo rozumianej oryginalności.

A.A. Lublin. Wybrałbym „Kobiety" i „Zapis z miasteczka". Ale wobec braku pełnego nazwiska i adresu...

A.G. Dębica. W utworach za mało kondensacji. Wiersz nie jest wystarczająco „gęsty". A powiedzmy sobie, że niektóre sformułowania nie tworzą żadnych obrazów. Np. „I bezwiednie/ tkliwie i z zapałem — dopinguje w pełni zaangażowany / w odlewanie stali/ — w formę kształtem żywą".

J. M. Lublin. Zachodzi ten dziwny wypadek, że te teksty, które napisał Pan w konwencji współczesnej, zawierają momenty interesujące, natomiast wiersze napisane „po dawnemu" zdradzają całkowity brak opanowania słowa. Możliwe, że poetyka tradycyjna jest jakimś sprawdzianem umiejętności poetyckich. Wszelako ja tego wniosku nie wyciągam i nie stosuję go jako wskazówki praktycznej. Radzę tylko popracować nad słowem od strony najzwyczajniej rzemieślniczej, bo to, co otrzymałem, wykazuje sporo nieporadności, a nawet ośmieszających naiwności. Rychłego powodzenia nie przewiduję. Jeśli mimo to zamierza Pan pracować, życzę wszystkiego najlepszego.

K.L. Bychawa. Z redakcji „Kuriera Lubelskiego" skierowano Pana list i wiersz do nas. Rozumiem uczucia młodego człowieka znajdującego się w Pana sytuacji i chciałbym dopomóc choćby radą, choć zrozumieniem. Wiem, że nie można wiele oczekiwać od kogoś nieustannie nękanego chorobą i przez to zmuszonego do częstego przebywania w szpitalu, ale jest to okoliczność między Panem a mną. Czytelnik nie stosuje taryfy ulgowej. A w Pana wierszu jest dużo z nieudanego naśladowania Asnyka, o którym Pan sam zresztą wspomina jako o swym mistrzu. I właśnie już w tym jest błąd. Nie przez to, że Asnyk to zły poeta; przez to, że nie można wrócić do stylów i poetyk minionych. Odeszły razem z życiem, które je wytworzyło. Muszę jednak Pana pocieszyć: wydaje mi się, że posiada Pan pewne uzdolnienia literackie w zakresie prozy. Widać to już na tym niewielkim obszarze tekstu, jakim jest list. Może w tym rodzaju coś spróbować? Oczywiście — nie zrażając się ewentualnie nieudanymi początkami.

K.L. Lublin. Czytałem o Partenonie, o Żelazowej Woli, o armacie wśród kwiatów (jak to już Schumann nazwał muzykę Chopina), ale kiedy dotarłem do „Rewolucji dziejów", opadły mi ręce. Bardzo przepraszam, że będę niekurtuazyjny: to jest bardzo złe. Zbiór określeń gorzej niż stereotypowych, bo naiwnych. Nie mogę niczego doradzić. Może coś powiedziałbym na podstawie przyszłych tekstów. Ale te należałoby poprzedzić poetycką refleksją.

T.W. Chełm. Nie, nie będę Pani pozbawiał złudzeń. Tym bardziej, że Pani nadzieje w stosunku do własnej twórczości nie koniecznie muszą być złudne. W wierszach jest pewien tonik liryczny, dziewczęcy — w zgodzie zresztą z wiekiem autorki — ale szczery i przekonujący. Jest również pewna oryginalność obrazowania. Tak więc — nie ma powodu do pesymizmu. Oczywiście — z drukiem jeszcze należy poczekać, ale rąk opuszczać nie warto.

W.D. Zakopane. Wydaje mi się, że wiersze Pana są zanadto skomplikowane. Poezja to między innymi prostota, umiejętność przekazania skomplikowanej rzeczywistości w słowach. Pewnie, że tak, by owego skomplikowania nie zatracić, ale też nie tak, by ułatwić sobie robotę tworzeniem figur stylistycznych już z założenia trudno przyswajalnych. Radzę „oczyścić" przekaz z wtrętów udziwniających, zamazujących obraz, a wtedy większy będzie skutek liryczny. Proszę się też nie zrażać tą odpowiedzią. Widać, że załączone utwory to raczej początki i że przyszłość może się rozwinąć całkiem pomyślnie.

W.K. Czarnystok. Kiedy młody początkujący poeta poszukiwał w sobie stanów poetyckich, zwykle o tej porze roku natrafiał na jesień jako sposobność do napisania wiersza. Pan postępuje tak samo, na skutek czego otrzymałem dwa wiersze o jesieni i jeden o przygotowaniach do zimy. Gorzej, bo w żadnym z nich prócz powtórzenia prawd kalendarzowych nie można niczego znaleźć. „Kamena" twórczości ludowej poświęca sporo miejsca, nie możemy jednak przekroczyć w tym względzie pewnych uzasadnionych proporcji.

M.P. Lublin. Nie chciałbym okazać się nieczuły na ten zasób „materii lirycznej", jaki niewątpliwie zawierają nadesłane teksty. Wszelako to „jeszcze nie to". Jeszcze jakaś niedorosłość, jakaś „warkoczykowatość", z której należy wyrosnąć. Jest ona ujmująca, ale ujmująca w taki sposób, w jaki ciekawa jest rozmowa dwojga osób na osobiste tematy. W twórczości o pełnych ambicjach potrzebna jest obiektywizacja. To nie znaczy wyzbycie się uczuć. To znaczy znalezienie dla nich szerszej akustyki. Ale w stosunku do przesyłki poprzedniej niewątpliwie da się zauważyć krok naprzód. Nie wykluczone, że jeszcze następny przyniesienie pożądany skutek w postaci druku.

L.K. Lublin, E.C. Izbica, A.M. Bielsko-Biała, Z.K. Lublin — nie skorzystamy.

Szyfrogram literacki (nr 22)

	1	2	3	4	5	6	7	8		9	10		11	12
13	14	15	16		17	18	19	20		21	22	23	24	
25	26	27	28	29	30		31	32	33	34	35	36		37
38	39	40	41	42	43	44	45	46	47		48	49	50	51
52	53	54	55	56			57	58	59	60	61		62	63
	64	65		66	67	68	69		70		71	72	73	74
75	76	77		78	79		80	81	82	83	84		85	86
	87	88	89	90	91		92	93	94	95	96	97	98	99
	100	101		102	103	104	105	106	107	108		109	110	111
112	113	114	115			116	117	118	119	120		121	122	123
124	125	126		127	128	129	130		131		132	133	134	135
136	137		138	139	140		141	142	143	144	145	146		

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce hasła odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment tekstu znanego pisarza — laureata Nagrody Nobla. Początkowe litery pierwszych 15 wyrazów pomocniczych dadzą imię i nazwisko tego pisarza. Pojedyncze czarne kratki w diagramie są przerwami między słowami, a podwójne — między zdaniami.

Wyrazy pomocnicze

117, 16, 18, 47, 15, 45, 89 — część składowa,
11, 6, 32, 56, 22, 101, 138, 116, 87 — rękodzieło,
28, 51, 19, 48, 1, 31, 35 — utwór instrumentalny o śpiewnej melodyce,
114, 85, 14, 34, 127, 93 — styl okresu Cesarstwa,
104, 3, 65, 92, 54, 33 — majowy śpiewak leśny,
38, 8, 68, 5, 50, 24, 59 — smalec lub oliwa,
96, 55, 52, 39, 46, 145 — imię autora „Potopu",
108, 17, 68, 43, 12, 118 — filozof starożytny, twórca teorii, że przyjemność prowadzi do szczęścia,
13, 72 18, 26, 75, 7, 53 — małż,
142, 120, 113, 58, 102, 20, 30 — ozdobna litera rozpoczynająca tekst,
97, 119, 77 — symbolizuje je „6",
100, 23, 123 — ptak hodowlany,
21, 111, 46, 63, 137 — słynny był gordyjski,
86, 80, 141, 73, 2 — przystąpienie do organizacji,
128, 133, 49, 118 — dynastia angielska w II połowie XV wieku,
61, 130, 83, 105, 4, 95, 70 — miasto obok słynnego tumu,
64, 99, 29, 67 — środek kapusty,
88, 136, 62, 103, 82 — 3 łokcie,
66, 98, 144 — gad beznogi,
71, 143, 109, 131, 79, 126 — róg,
78, 57, 94, 41 — dawna kopalnia,
25, 90, 76, 74 — nurt,
107, 125, 140, 112, 44 — barwny krewniak wróbla,
146, 115, 106, 139, 84, 124 — najbliższy przodek,
37, 69, 122, 9, 129, 36 — personel dworu,
134, 81, 132, 27 — dowódca wojsk alianckich w 1918 roku,
121, 91, 133, 42 — 1/100 szterlinga.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 20 jest zdanie z powieści Jana Dobraczyńskiego „Najeźdźcy":

„Przyjaźń między Walterem a Herbertem datowała się od ławy szkolnej. Rzecz szczególna: gdy się po raz pierwszy ujrzeli w szkole, zapałali do siebie niczym nie wytłumaczoną niechęcią".

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu literackiego nr 20 cztery bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali:

Krzysztof Czarnocki, Lublin 20-109, ul. J. Dąbrowskiego 9/10; Maria Turska, Toruń 87—100, ul. Zjednoczenia 123/19; Wanda Świdurska, 85-079 Bydgoszcz, ul. Kościuszki 26; Tadeusz Buchocki, 17-100 Nielsk Podlaski, ul. Krzywa 4.

listy do kameny

NAPIĘTY „ŁUCZNIK"

W 19 numerze „Kameny" ukazał się artykuł Aleksandra Jańskiego pt. „Napięty Łucznik", z którego wynika, że radomskie maszyny do pisania, produkowane na licencji szwedzkiej, są co najmniej bardzo dobre. W takim razie ja mam jakiegoś fatalnego pecha, bo zakupiony niedawno „Łucznik" posiada sporo braków: a to taśma plącze się na bębnie, a to klawisz regulujący odstępy między wyrazami zacina się. Inaczej przecież każe mi spojrzeć na sprawę fakt dość opornego wdrażania do produkcji innych licencji zagranicznych. Czy to znaczy, że kultura technologiczna jest u nas dość niska? A może rzecz w tym, że przyzwyczajeni do wytwarzania produktów czasochłonnych nie potrafimy przestawić się wystarczająco szybko na nowy, szybszy rytm pracy? Oczywiście, kupować licencje trzeba, ostatecznie w jakim celu mielibyśmy rozwiązywać te same problemy, które gdzie indziej już dawno należą do muzeum techniki (...).

Adam Waligórski
Puławy

SPORT NA ŁAMACH

Jeszcze trzy lata temu „Kamena" żywiej interesowała się sportem, zamieszczaliście nawet stały felieton na ten temat. Teraz nic o tych sprawach na łamach, mimo że okazji po temu sporo. Nie chodzi mi nawet o zjawiska ogólnopolskie, o nasze przewagi międzynarodowe w piłce nożnej czy siatkówce, ale o lubelskie podwórko. „Motor" przeszedł czystkę, więc spodziewaliśmy się jakiejś wyraźnej poprawy poziomu sportowego i moralnego drużyny piłkarskiej. Tymczasem niedawno znów było jakieś „zamieszanie" w zespole... Co tu zresztą dużo mówić: tematów jest mnóstwo, tematów nie tylko czysto sportowych, ale także i takich, które zahaczają o problemy społeczne. Marzy mi się poza tym, aby ktoś z „Kameny" wyjaśnił dwóm panom z „Literatury" — Jackowi Syskiemu i Rafałowi Marszałkowi — którzy od czasu do czasu kierują swoje błękitne oczy na sport, zazwyczaj na modną piłkę nożną, aby przestali wreszcie gaworzyć, że ta dyscyplina sportowa nie posiada w Polsce żadnego zaplecza, a między reprezentacją a klubami ligowymi istnieje przepaść. Przeczy temu ostatni mecz z Węgrami, „obsłużony" przez piłkarzy spoza ścisłej „piętnastki", przeczy temu poziom meczów I ligi, poziom wysoki satisfakcjonujący. Wydaje się, że wspomniani panowie oglądają tylko mecze telewizyjne i na podstawie takich doświadczeń formułują swoje sądy. Ale siedzenie w fotelu nie zastąpi osobistej obecności na stadionie!

Jan Piechocki
Lublin

„TERESKA"

Latem na łamach „Polityki" ukazał się list pana Władysława Barańskiego ze Zgierza, w którym autor prosił osoby znające Marię Cel — „Tereskę" z oddziału majora Hubala o informację na temat tej dzielnej dziewczyny. Notatka ukazała się w okresie urlopowym, można zatem przypuszczać, że została przeoczona przez niejednego z zainteresowanych. W związku z tym chciałbym przypomnieć, że o „Teresce" pisał swego czasu na łamach „Kameny" Mirosław Derecki. W innej formie tekst ten trafił następnie do książki tego dziennikarza pt. „Tropem ludzi majora Hubala", którą opublikowało Wydawnictwo Lubelskie.

Jan Wręcz
Kielce

„ATTYKA ŁOPUSZAŃSKIEGO"

W 20 numerze „Kameny" opublikowano krótki artykuł Juliana Kota, w którym autor broni attyki kamienicy Celejowskiej w Kazimierzu Dolnym przed doktrynerskimi konserwatorami zabytków i takimi historykami sztuki. Element wykonany przez rzeźbiarza J. Łopuszańskiego w latach dwudziestych nie ma nic wspólnego z oryginałem — twierdzą oni — zatem trzeba zburzyć attykę, a na jej miejscu postawić nową, zrekonstruowaną według zachowanych przekazów fotograficznych i litograficznych.

Osobiście uważam, że należy pozostawić dzieło Łopuszańskiego na swoim miejscu, w czym zgadzam się bez reszty z p. Kotem. Rzeźbiarz ten był człowiekiem głęboko związanym z Kazimierzem, ma pełne prawo do trwałego śladu po działalności w tym mieście. Przy okazji: nie mogę powstrzymać się od uwagi, że odyby kazimierskie rozumowanie doktrynerów upowszechnić na inne obiekty architektury, kilkuset romańskim, gotyckim i renesansowym kościołom w Polsce należałoby zdjąć barokowe hełmy, wprowadzając na ich miejsce „nakrycia" zgodne ze stylem budowli.

Kazimierz Żytniak
Puławy

„AICA I WIRAŻE"

W stałej rubryce... „Okolice sztuki" ukazał się artykuł „AICA i wiraże" podpisany — IJK („Kamena" nr 20). Pisząc m. innymi o powstałej w 1959 roku Grupie Twórczej „Inops", autor „nie doinformował" czytelników, że:

1. Grupa Twórcza „Inops" powstała na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim;

2. „Inops" w odróżnieniu od grupy „Zamek" i dodatku plastycznego „Kameny" — „Struktury" istnieje i działa nadal.

W grudniu ubiegłego roku z okazji 15-lecia istnienia Grupy zorganizowano wystawę prac 27 jej członków, na której zgromadzono przeszło 100 prac.

W załączeniu przesyłam katalog wystawy. (...)

Norbert Wojciechowski
Rzecznik prasowy KUL

SAMOCHÓD POD OKNEM

Wychwala się często urbanistykę i architekturę nowej Kalinowszczyzny, która pod względem fotogeniczności dzielnie konkuruje nawet z osiedlami Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Nikt przecież nie zwrócił uwagi na taki drobiazg, związany na przykład z ul. Dembowskiego. Otóż ta wewnętrzna ulica osiedla przebiega w odległości dwóch metrów od bloku nr 9 i posiada kilkudziesięciometrową zatoczkę do parkowania samochodów. Trzy—cztery lata temu stawały tam nieliczne wozy, więc nie było kłopotów. Dzisiaj cały parking jest zajęty, samochody podjeżdżają pod blok do północy, a bywa, że i północ, rano zaś już około piątej zrywają Bogu ducha winnych mieszkańców, także i tych, którzy dopiero na ósmą idą do pracy. Poza tym zapach benzyny i olejów oraz swąd spalin swobodnie dociera do mieszkań. Słowem — nie jest wesoło mieszkać przy ul. Dembowskiego. Czy nie można jakoś rozwiązać tego coraz bardziej kłopotliwego problemu?

Janina Janik
Lublin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19.50. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 2382. 17.X.75.

Numer łamał: Mieczysław Pełujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Nr indeksu: 36406/3025

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Dialogi drogowe

WIELKI, zabłocony ciągnik zatrzymał się na poboczu. Traktorzysta nerwowo szuka dokumenty z kurtyki.

— Karta drogowa na jaki dzień wystawiona, nie wiadomo, wczorajsza, dzisiejsza?

— O cholera, panie władzo!

— Światła „stop", kierunkowskaz włączyć lewy, prawy.

— Tak jest.

— Przyjacielu, nie ma pan „stopu", lewego migacza, numery wymalowane na błotniku, zabłocone.

— Pan ma rację, ale my jedziemy na państwowe pole orać.

— Bezpieczniki watowane grubą żyłą, a jak się instalacja spali? Zapasowe żarówki pan ma?

— Nie mam, ale my jedziemy na państwowe...

— Dwieście złotych.

— Za dwie żarówki jeszcze nie płaciłem.

— Za brak zapasu pan płaci. Jaka to jest instytucja?

— Międzykółkowa Baza Rolnicza w Kielczewicach.

— Chuchnij no pan!

— O, panie, mogę piętnaście razy.

— Piwko z rana było.

— Nie było.

— Płaci pan?

— Dobrze, płacę, ale tak nie można.

— Kierownik panu wynagrodzi.

— Tak, wynagrodzi! Obciąży jeszcze!

— Dziękujemy, uszanowanie.

— Często to tak? — pytam sierżanta.

— Wystarczy tylko na boczną drogę zjechać i wyniku nie potrzeba szukać, sam się w ręce pcha. Co drugi traktorzysta nie w porządku.

Ciężarowa furgonetka z Lubelskiego Przedsiębiorstwa Instalacji Sanitarnych wyhamowuje łagodnie. Wóz sprawny, karta drogowa należycie rozpisana.

— Pustą przebieg?

— Wracam do bazy, tam będzie dyspozycja, przewoziłem biały montaż.

— Biały co?

— Biały montaż, umywalki, sedesy...

— Ale w tę stronę przebieg pusty. Do widzenia.

— Tyle się teraz pisze o pustych przebiegach...

— A pisze się, pisze, panie redaktorze. I co ja im mogę zrobić? Musiałbym sam pisać. Dziesiątki informacji do przedsiębiorstw. A kiedy patrolować?

Furgonetka Przedsiębiorstwa Transportu Handlu Wewnętrznego w Lublinie stoi przed gospodą GS. Samochód w porządku, karta drogowa też. Kierowca wybiera się na kolację.

— Trzeba trochę odsapnąć — powiada.

— Od której pan jeździ?

— Będzie od trzeciej w nocy.

— Teraz jest siedemnasta, czyli czternaście godzin. Wolno panu tyle?

— Na bazie w Kraśniku powiedziali, że czternaście mogę, w karcie pisze dwanaście.

— Zanim pan dojedzie do Kraśnika, będzie piętnaście. Najkrócej to ile pan godzin jeździ?

— Dwanaście.

— A najdłużej?

— Ze siedemnaście.

— Wolno to tak?

— Kierownik mówi: musiał pan jeździć!

Zrobiło się ciemno. Teraz interesują nas głównie wozacy. Na kilkunastu zatrzymanych tylko dwu miało latarki i jako tako czyste światła odblaskowe. Dialogi mniej więcej następujące:

— Latarki pan nie ma!

— Zaraz już tu skręcam do domu, z pola jadę.

— To co, pan nigdy z pola nocą nie wracał? Pierwszy raz się zdarzyło?

Sędziwy gospodarz skrobie się w głowę. Zupełnie jak poczciwy Ślimak Bolesława Prusa.

— Nie przewidziałem sprawy, że do nocy w polu będę. Robota...

— Nocą też można zwozić, tylko latareczkę potrzeba.

— Pierwszy raz, bo tutaj pola mam mało.

— Ile latarka kosztuje?

— Ja wiem...

— Dwadzieścia, trzydzieści, niechby nawet i pięćdziesiąt złotych. A mandat sto! Płaci pan?

— Płacę, wyjechałem, było widno.

— Ale wraca pan, jest ciemno. Żeby pan pamiętał o latareczce, musi sto złotych kosztować.

Obok gospodarza siedzi na wozie młody chłopak i on wyciąga pieniądze.

— Pół litra się spaliło — mówię do chłopaka.

— Niestety, ale odrobimy.

— Jak, gdzie?

— Dziadek ogórków nasadzi i takoś będziemy żyć.

— Pan z dziadkiem gospodaruje? — pyta sierżant.

— Nie, mieszkam w Biłgoraju. Przyjechałem na urlop, dziadkowi pomagać.

— Prawo jazdy pan ma, pojazd jaki?

— Prawko jest, pojazdu jeszcze nie ma.

— Jak będzie pojazd, to pan zobaczy, co to jest nieoświetlona furmanka na drodze.

Dziadek jeszcze bladoli, tyle pieniędzy, tyle pieniędzy. Wnuczek mówi, żeby dziadek dał spokój, chłopu zawsze wiatr w oczy.

— Panie, oni teraz płaczą, płaczą, a odjadą, to powiedzą: ty sukinsynie jeden, ty!... — mówi sierżant, kiedy już siedzimy w radiowozie.

Przed Bełżycami jadący skrajem szosy woźnica zauważył jakimś cudem nasz radiowóz z daleka i tylko zaciął kobyłę, przez rów i w pola! Skręcamy za nim polną przecinką, ale chłop cwany, gna przez miedze, tylko orczyki jęczą. Dalej samochód nie pojedzie. Funkcjonariusze, których jest dwu, wyskoczyli z „warszawy" i gonią piechotą. Zostałem sam w radiowozie. Dookoła głucha noc. Krowy muczą, psy szczekają w oddali. Pogoni już nie słychać nawet. Wrócili, chłop uciekł, zna okolicę.

— To jest taka robota, że czasem wyniku trzeba szukać, gonić, tylko się człowiek ubłoci — powiadają zziajani.

Ale oto — uwaga! uwaga! — szosą nadchodzi, a raczej nadjeżdża, stara śmierć na starym rowerze. Rowerzysta jedzie zygzakiem, wehikuł oczywiście nieoświetlony.

— No, postaw pan tego grata, ten rower. Dowód osobisty!

— Panowie, ja wiem, ja emeryt, nie darujecie mi tego?!

— Normalna rzecz, popiło się i się jedzie.

— Wypiłem piwo.

— Ile?

— Buteleczkę jedną, we dwu żeśmy wypili dwie buteleczki.

— Kiedy?

— Jakieś dwie godziny temu. Ej, panowie, staremu dziadkowi byście dali trochę żyć!

— Gdzie pan pracuje?

— Ja emeryt, na pół etatu w Wojewódzkim Kolumnie Transportu Sanitarnego, placówka Bełżyce, jako mechanik.

— Stary dziadek na emeryturze dałby nam trochę spokoju, a nie bierze się za jazdę po pijanemu, i w dodatku mechanik.

— A co, zrobiłem jakieś przestępstwo, prowadziłem do cmentarza, teraz wsiadłem, bo patrzę...

— Milicji nie ma, to wio go, tak?

— Szosa pusta... Bądźcie znowuż ludźmi, jeszcze zasługi mam, proszę, mogę pokazać, krzyż brązowy, zasługi mam coś troszkę, pan będzie łaskaw — dziadek zaczyna walić z grubych rur.

— My panu zasług nie odbieramy, tylko że po spożyciu alkoholu drogą się nie jeździ, cały ten rower nieoświetlony z przodu, ani z tyłu, szkoda, że pan na siwym koniu nie jedzie!

— Ja nie pijany, panowie.

— Mandat dwieście złotych, płaci pan? — funkcjonariusze mają już dziadka dosyć.

— Emeryt może mieć tyle pieniędzy? Ja nie pijany...

— W takim razie dmuchaj pan. Badany podaje, że ostatnio spożywał wódkę, wino, piwo? — trzeba to zapisać w protokóle probierza trzeźwości.

— Już mówiłem, jedną buteleczkę piwka dwie godziny temu.

— W porządku, dmuchaj pan!

— No dobrze — dziadek już wściekły — jestem po wódce, po co mam dmuchać w balon?

— Proszę dmuchać grzecznie, lepiej będzie dla pana! — dziadek dmucha. — Jeszcze podpis pański. Dziękujemy, dobranoc, rower niech pan prowadzi skrajem szosy, do domu niedaleko.

— Co będzie, panowie?

— Nic, wniosek do kolegium, tam pan się będzie tłumaczył.

— A to może ja bym zapłacił?

— Nie — mówią chórem funkcjonariusze, dziadek zmitrężył im już czterdzieści minut. — Pytaliśmy się, czy pan ma pieniądze.

— Tylko wiem, że krzywdę mi robicie, panowie, źle robicie!

— Pan źle zrobił, dobranoc.

Jeszcze tylko na wąskich i krętych uliczkach Bełżyc pościg na syrenie za uciekającym rowerzystą, który jednak rozpłynął się w podbełżyckim polu. I koniec patrolowania na dzisiaj. W Lublinie jesteśmy o jedenastej, czyli dwudziestej trzeciej.

Podciej

falsetem

Komu gratulować?

SKLEP mięsny przy ul. Gospodarczej w Lublinie. Dla wygody kupujących część mięsa uprzednio rozdzielono na porcje, poważono i opakowano w celofan. Na każdej paczuszce jest cena. Zakup nie trwa dłużej niż kilka minut. Hola! To by było zbyt proste.

Mięso paczkowane i wydawane na wagę sprzedaje się w jednym stoisku. Nikogo z personelu nie obchodzi, że ktoś chce kupić uprzednio przygotowaną porcję. Każdy, niezależnie od tego, co nabywa, musi swoje odstać w kolejce, zmitrężyć w najlepszym wypadku te pół godziny. A przecież przedsiębiorstwo, wychodząc ze znakomitą ideą uprzedniego przygotowywania mięsa do sprzedaży, miało chyba na celu ulżenie klientom. Jeśli zaś uprawiało sztukę dla sztuki, to ja dziękuję. Nie mamy sobie więcej niczego do powiedzenia.

W pełni doceniam ciężką pracę sprzedawców, a ściśle mówiąc sprzedawczyń, jako że zawód handlowców, przynajmniej tych na niższych stanowiskach pracy, został zdominowany przez kobiety. Niepokoi mnie jednak sprawa przygotowywania nowych kadr do tego, tak potrzebnego przecież, zawodu.

Moim punktem obserwacyjnym jest sklep spożywczy WSS na osiedlu im. Sienkiewicza, w którym „praktykują" uczennice Zesp. Szk. Zaw. nr 1. Pod ich opieką są cztery stoiska (z serami, warzywami, winami oraz napojami bezalkoholowymi), a także (sklep jest samoobsługowy) trzy kasy. Oto kilka sytuacji, których byłem świadkiem.

Stoisko z warzywami. — Są kartofle? — Nie ma. — Jak to nie ma kartofli? — Nie dowieźli. Głos z boku: — Przecież widziałam, jak niedawno przywozili kartofle! — No to ja zobaczę. Głos z boku (klientki) okazał się słuszny. Kartofle odnalazły się na zapleczu.

Stoisko z winami. — Proszę o butelkę „Klosterkeller". — O co? — O „Klosterkeller". — A co to jest? — Wino. O to, proszę spojrzeć. Nie, nie to, trochę wyżej. — Zaraz, muszę sprawdzić, ile kosztuje. — 71 złotych. — No i 3 złote zastaw za butelkę. — Nie, proszę pani. Za tę butelkę nic się nie pobiera.

Stoisko z serami. — Dla mnie 20 dekagramów sera „Podlaskiego". — Nie ma „Podlaskiego". — A jaki jest? — „Zamojski". — Przecież ja widzę, że jest i „Podlaski". — Ale muszę go napoczynać i się zeschnie.

Stoisko z napojami bezalkoholowymi. — Cztery butelki wody mineralnej z zastawem... Płaci pan 16 złotych. — Niech pani jeszcze raz policzy. — Wychodzi mi 16. — A może 14 złotych? — Zaraz zobaczę. Tak, ma pan rację.

Jedna z kas: — Ile to kosztuje? Ty, zobacz (to wołanie o pomoc do koleżanki). Miał pan butelki? — Tak, miałem. (Liczy). — Płaci pan 4? złote. — A co to za cztery złote? — Zastaw za butelki. — Przecież mówiłem pani, że oddałem puste butelki. — Tak? To przepraszam.

Godzina 18.52. Praktykantka przekręca klucz u drzwi wejściowych. — Co się pani tak śpieszy! Jeszcze osiem minut do zamknięcia. — Jakie osiem? Na moim zegarku już siódma.

Na dworze kilku denerwujących się chłopaków. — No prędzej, dziewczyny, wychodźcie. Kończcie tę zapaćkaną robotę.

Ale dlaczego ja się właściwie dziwię? W środku numeru kol. Jasiński pisze o „Unii". Jeden z dotychczasowych szefów tej placówki, kiedy grunt zaczął mu się spod nóg usuwać, zwolnił się na własną prośbę. Z opinią, jaką otrzymał, mógłby startować na stanowisko naczelnika wydziału w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego. Zatrudniło go lubelskie WPHS. Na stanowisko... kontrolera.

Komu gratulować?

MAJ

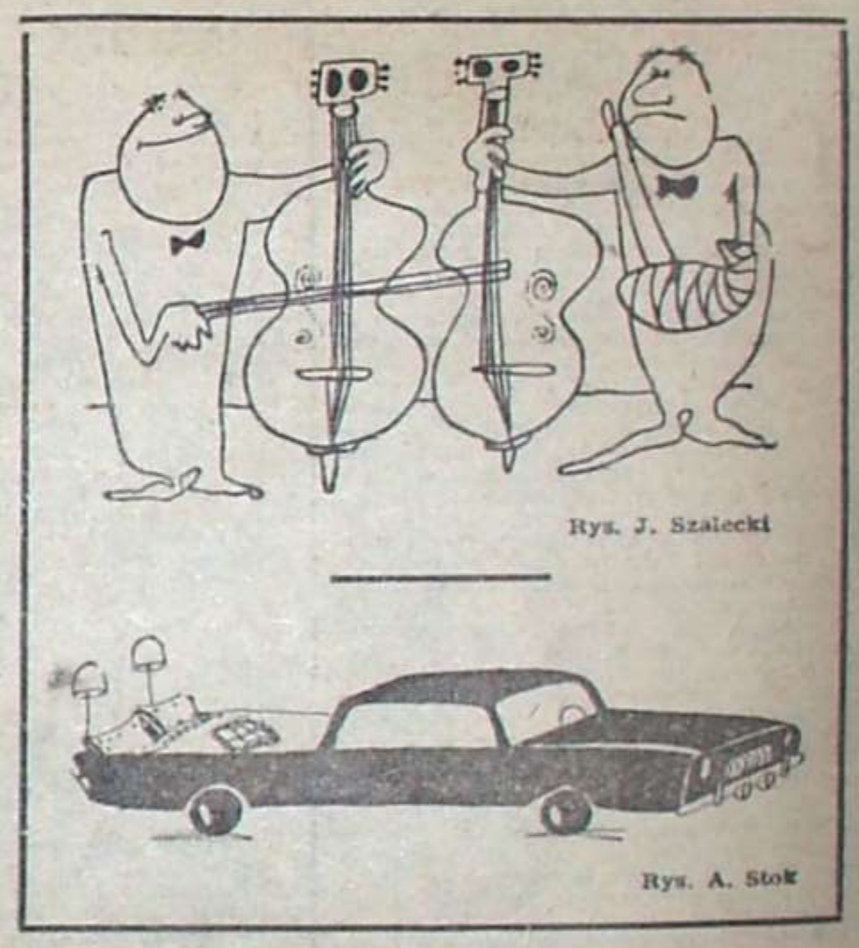

Rys. J. Szalecki

Rys. A. Stok

KOCI PAZUR

Ziemowit Samożyciek

(19)

— I pan chce, abyśmy dopłacili te dziesięć tysięcy? — Michał nie ukrywał oburzenia.

— Szczerze mówiąc nie dziesięć, ale dwadzieścia. I tak będzie moja krzywda.

Rozstali się z niczym. Następny amator był jeszcze bardziej wymagający. Zażądał trzydziestu tysięcy złotych. I tym razem umowy nie zawarto.

Michał zastanawiał się właśnie, czy nie warto dać kolejnego ogłoszenia, gdy nagle rozległ się dzwonek telefonu.

— Jestem zainteresowana pana ofertą — usłyszał kobiecy głos. — Sam siedzisz w domu? Możesz swobodnie rozmawiać?

To była Mirka. Michał nawet nie próbował ukrywać radości.

— Znakomicie, że się zjawiłaś. I chyba już jesteś od kilku dni, skoro odnalazłaś moją ofertę.

— Nie. Przyjechałam dzisiaj, ale obejrzałam kilka starych gazet, a wiesz, że ja lekturę prasy zwykle zaczynam od ogłoszeń. Miałeś kłopoty, szczerze ci współczuję.

— Różnie w życiu bywa. Kiedy się zobaczymy?

— A ty już pracujesz?

— Formalnie jeszcze nie. Ale skracam urlop. W tej sytuacji nie ma po co siedzieć w domu.

— No to może zobaczymy się jutro?

— Chętnie. Gdzie proponujesz?

— Zaskoczę cię. U siebie w domu.

— Jak to?

— Po prostu mama wyjechała do ciotki i sama zostałam na domowych śmieciach.

— To bardzo miła wiadomość!

— No, przekonamy się. Bądź jutro o czwartej po południu.

— Wolałbym nieco później. Na przykład o piątej.

— Rozumiem. Układy rodzinne. Niechaj więc będzie o piątej...

* * *

Michał nigdy jeszcze nie był w mieszkaniu Mirki, ale dom i okna znał dobrze: tyle razy ją odprowadzał...

— Jesteś punktualny. — Spojrzała na zegarek. — Oczywiście z akademickim kwadransem. — Pocałowała go w policzek. Kiedy chciał ją objąć, wymknęła mu się spod rąk.

— Coś taka niedotykalska?

— Jesteś w gorącej wodzie kąpany! Sądzę, że najpierw musimy uczcić nasze spotkanie. Napijesz się kawy?

— Tylko kawy?

— A niczego z sobą nie przyniosłeś? Żartuję, żartuję. Mam butelkę tokaju.

— A ja butelkę piwa.

— Schowaj ją na inną okazję. Nie mam zamiaru się upić.

Michał obserwował Mirkę. Odnosił wrażenie, że się nieco zmieniła.

— Jak udał się twój wyjazd nad morze? — zapytał, kiedy usiedli już przy stole.

— A tobie? — odpowiedziała pytaniem.

— Możesz się domyślać. Czytałaś przecież nekrologi w prasie.

— Tak. I bardzo ci współczuję. To przykre przeżycia. Wszystko się jednak na tym świecie kończy i na to nie ma żadnej rady.

— Ładną miałaś pogodę?

— Przepiękną. Tegoroczne lato było wprost fantastyczne. Wyobraź sobie, że nie spadła ani kropla deszczu! Nad Bałtykiem to wprost nieprawdopodobne.

— A jak się bawiłaś?

— Różnie. Mieszkałam u siostry w Słupsku i dojeżdżałam nad morze do Ustki.

Michał wyczuł, że rozmowa niezbyt się kleiła. Nie wiedział, czemu to przypisać. Kiedy ponownie usiłował objąć Mirkę, ta odsunęła się od niego lekko, ale stanowczo.

— Co się z tobą dzieje? — zawołał. — Zupełnie ciebie nie poznaję. Coś się wydarzyło?

W tym momencie zabrzmiał dzwonek u drzwi. Mirka zerwała się.

— Nie otwieraj — powiedział. — Nie chcę tu nikogo widzieć.

— Nie mogę nie otworzyć. Przecież światło pali się w oknach i wiadomo, że ktoś jest w mieszkaniu.

Wyszła na korytarz, zamykając pokój. Michał pilnie nadsłuchiwał. Zorientował się, że Mirka otrzymała jakiś telegram. Nic jednak nie dał poznać po sobie i gdy wróciła, zapytał:

— Kto to był?

— Nic. Pomyłka. Ktoś przyszedł do sąsiadki.

— Kłamiesz! Pokaż ten telegram.

— Jaki telegram? Coś ty...

— Pokaż go w tej chwili!

— Zwariowałeś! Przecież nic nie mam.

— Dobrze słyszałem.

Michał gwałtownie wybiegł na korytarz i wpadł do kuchni. Zaczął przeglądać papiery na szafce. Na samym wierzchu leżał telegram. Mirka usiłowała mu go wyrwać.

— Sama widzisz, że mnie okłamujesz.

— Michał, nie czytaj.

— A właśnie, że przeczytam. Nie lubię, jak ktoś ze mnie robi wariata.

— Michał, proszę cię!

Wściekły, nie zważał na jej słowa. Nie czuł nawet, jak podrapała mu ręce. Do krwi.

„przyjeżdżam w niedzielę rano kocham kocham kocham wiktor" — przeczytał na głos.

— Co to znaczy? Mów, co to znaczy? Co to za Wiktor? — Nie panując nad sobą, zaczął ciągnąć ją za włosy.

— Wiesz — krzyknęła — ty jesteś prawdziwe bydlę. Dobrze, że to wszystko już się skończyło. Mam ciebie dosyć, dosyć. — Wyrwała mu się i usiadła na tapczanie. Ukryła twarz w dłoniach. Michał stał nad nią wzburzony.

— Wyjdź — powiedziała siląc się na spokój. — Nie mamy już sobie więcej nic do powiedzenia.

— Tak sądzisz? A ja chcę jednak wiedzieć wszystko. Inaczej nie wyjdę.

(Cdn.)